

*Obietnica trwałej miłości*

# Spis treści

1.	Nowe początki	5
2.	Rozmyślania	17
3.	Mały Arnie	23
4.	Odwiedziny	31
5.	Fascynujące wieści	45
6.	Wanda i jej dziecko	51
7.	Tina Larson	61
8.	Niespodziewana odpowiedź	73
9.	Nandry i Clae	85
10.	Wyprawa do miasta	93
11.	Rodzina i nauczyciel	105
12.	Szkolna rzeczywistość	119
13.	Niespodzianka	127
14.	Przyjaciółka Tommiego	137
15.	Poszukiwanie pastora	147
16.	Rozmowa z Ma	153
17.	Wizyta u Wandy	161
18.	Nowy pastor	167
19.	Szkoła i odwiedziny	175
20.	Scenki z życia	183
21.	Pastor Knutson	189
22.	Życie toczy się dalej	195
23.	Kościół i rodzina	201
24.	Boże Narodzenie	215
25.	Jeszcze raz	227
26.	Josh i Nandry	233
27.	Nowy pastor, nowy dom	243
28.	Życie i nauka	249
29.	Wielbiciele Missie	257
30.	Odkrycie Missie	267
31.	Świąteczne niespodzianki	273
32.	Kolejna niespodzianka	281
33.	Szczególny dzień	289



## Rozdział 1

# Nowe początki

**M**arta przekręcała się niespokojnie z boku na bok. Głęboki sen przerywały przenikliwe i trudne do opanowania dreszcze. Gdy stopniowo budziła się ze złego snu, przynosiło jej to ogromną ulgę. Na szczęście znajdowała się w bezpiecznym miejscu: w swoim własnym łóżku.

Okropny sen, który wydawał się tak realny i przerażający, przywołał dawny lęk i niepokój.

Po raz kolejny zadawała sobie pytanie: *Dlaczego właściwie wciąż mi się to śni? Przecież od tamtych wydarzeń minęło już tak wiele czasu. A jednak owe sceny wydawały się tak bardzo realne...*

Czuła, że wszystkie elementy tego koszmaru wciąż na nowo ją osaczają. Popsuty wóz, szalona wichura, trzepot miotanego wiatrem płótna, a pośród tego ona – skulona samotnie w kącie, ściskająca cienki, podarty koc, którym owijała zziębnięte, drżące ciało, bezskutecznie usiłując się ogrzać. Przerażające uczucie, iż została całkiem sama, było bardziej dotkliwe niż chłód, który przenikał ją na wskroś.

*Teraz na pewno tu umrę* – myślała Marta przez sen – *w zupełnym osamotnieniu. To już koniec...* Aż nagle, dzięki Bogu, obudziła się i poczuła ciepło własnego łóżka. Wyrzała przez okno, by ujrzeć niebo usłane przez Stwórcę migoczącymi gwiazdami.

Trudno jej było jednak opanować kolejny dreszcz, który przeszedł przez całe jej ciało. W odpowiedzi na ten odruch poczuła ciepło męskiego ramienia obejmującego ją mocno i przyciągającego do siebie.

Nie chciała obudzić Clarka. Całymi dniami był bardzo zajęty pracą w polu i na gospodarstwie. Wiedziała, że potrzebuje snu. Popatrzyła na jego twarz oświetloną bladym strumieniem księżycowej poświaty i domyśliła się, że na szczęście się nie obudził – jeszcze nie.

Czuła, że ogarnia ją fala miłości. Kiedy tylko potrzebowała dowodu, że Clark naprawdę ją kocha, natychmiast jej to okazywał, nawet w półśnie. Nie po raz pierwszy, jeszcze zanim się przebudził, podświadomie odczuł jej potrzebę bliskości i przytulił ją mocno.

Za chwilę poruszył się i otworzył oczy. Pocałował jej rozpuszczone włosy i zapytał szeptem:

– Co się dzieje, kochanie?

– Nic, wszystko w porządku... po prostu miałam zły sen. Byłam zupełnie sama...

Przytulił ją jeszcze mocniej.

– Ale przecież nie jesteś sama.

– Tak... Clark, tak się cieszę, tak bardzo się z tego cieszę.

Kiedy tulił ją do siebie, poczuła, że dreszcze ustały, a sen przestał już być tak realny.

Dotknęła ręką jego policzka.

– Naprawdę już wszystko dobrze. Śpij spokojnie.

Pogładził ją po włosach, po czym jego dłoń spoczęła na jej ramieniu. Marta leżała bez ruchu. Po paru chwilach jego miarowy oddech przekonał ją o tym, że jej mąż znowu zasnął.

Teraz już panowała nad swoimi myślami. Skoro minął paniczny lęk wywołany złym snem, postanowiła wykorzystać ciszę przed nastaniem świtu na planowanie zadań czekających na nią w nadchodzącym dniu.

W miesiącach zimowych mężczyźni oprócz swoich codziennych obowiązków każdą wolną chwilę wykorzystywali na ścinanie i zwożenie drzewa z lasu. Rodziny w sąsiedztwie zgadzały się w jednej poważnej kwestii dotyczącej konieczności edukacji młodego pokolenia. Najlepszym sposobem osiągnięcia tego celu było własnoręczne wybudowanie szkoły, a potem zatrudnienie nauczyciela. Budynek miał powstać na kawałku ziemi należącej do Clarka i Marty Davisów, nieopodal rzeki.

Stos bali przeznaczonych na budowę stopniowo rósł. Mężczyźni starali się zgromadzić wymaganą ilość drewna jeszcze przed wiosennymi roztopami, by potem, nim ich własna ziemia będzie wymagała zaorania, mogli poświęcić trochę czasu na wzniesienie szkolnego budynku.

Po zliczeniu bali uznano, że jest ich już wystarczająco dużo. Ustalono, że budowa odbędzie się jutro. Mężczyźni mieli nadzieję w ciągu tego dnia postawić ściany i być może położyć więźbę dachową. Całe przedsięwzięcie miało być ukończone w trakcie

lata, gdy tylko czas pozwoli na dodatkową aktywność mężczyzn. Przy takim założeniu od jesieni dzieci miałyby wybudowaną szkołę i mogłyby rozpocząć naukę.

Myśli Marty wybiegały naprzód. Zastanawiała się nad nauczycielem... wciąż jeszcze nie udało im się go zatrudnić. Trudno było znaleźć odpowiednią osobę i zainteresować ją przyjazdem tutaj, na odległe, dziewicze tereny kraju. Czyżby budowali szkołę tylko po to, by okazało się, że nie można sprowadzić wykwalifikowanego nauczyciela? Nie. Musieli jeszcze gorliwiej modlić się o owocne poszukiwania i o to, by ich wysiłek włożony w budowę szkoły nie okazał się daremny.

Mała Missie nie będzie uczęszczać do szkoły przez pierwszy semestr. W listopadzie skończy dopiero pięć lat i jest jeszcze za mała, by dołączyć do grupy dzieci rozpoczynających naukę w nowej szkole. Marta miała mieszane uczucia – z jednej strony chciała, by Missie pozostała z nią w domu jeszcze przez najbliższy rok. Z drugiej, była tak podekscytowana powstawaniem nowej szkoły, że trudno jej było pogodzić się z tym, iż jej dziecko nie będzie w grupie pierwszych uczniów. Musiała wciąż sobie przypominać, że zdecydowali wspólnie z Clarkiem, iż ich córka powinna poczekać. Była to trudna decyzja, tym bardziej, że Missie bez przerwy mówiła o nowej szkole.

Na początku projekt ten wydawał się sprawą bardzo odległą, lecz teraz znajdowali się u progu jego realizacji. Marta była tym faktem bardzo przejęta i wiedziała, że już nie zaśnie, choć odpoczynek był jej tak bardzo potrzebny. Z drugiej strony, było jeszcze zbyt wcześnie na rozpoczynanie codziennych obowiązków. Jej krzątania mogłaby obudzić pozostałych członków rodziny.

Leżała więc cichutko, analizując w myślach, co przygotuje do jedzenia dla ekipy budowlanej na jutro i co w związku z tym musi zrobić już dzisiaj. Wyobrażała sobie, w co ubierze każde z dzieci, a nawet planowała, z którymi sąsiadkami pogawędzi, jeśli czas na to pozwoli... Marta bardzo sobie ceniła możliwość wspólnych spotkań, nawet za cenę wyteżonej pracy i dodatkowego wysiłku. Wiedziała też, że kobiety z jej okolicy podzielają tę potrzebę.

Czas dłużył się niemiłosiernie. W końcu zniecierpliwienie zmusiło ją do wyjścia spod ciepłej kołdry. Podniosła się powoli i ostrożnie, bo w zaawansowanej ciąży nie da się już tego typu ruchów wykonywać szybko i sprawnie.

Jeszcze tylko miesiąc – pomyślała sobie – i zobaczymy, kim jesteś...

Missie miała nadzieję, że urodzi jej się siostrzyczka, a dla małego Clare'a nie miało to znaczenia. W sposobie myślenia małego chłopca niemowlę było po prostu niemowlęciem – i tak przez cały czas będzie przebywało w domu. On natomiast przy każdej okazji towarzyszył na gospodarstwie swojemu ojcu, próbując dorównać mu kroku. Dlatego Clare nie sądził, żeby niemowlę w jakikolwiek sposób wywarło wpływ na jego dotychczasowe życie.

Marta wsunęła stopy w domowe kapcie i owinęła się ciepłym szlafrokiem. Rano w ich małym domku było dość zimno.

Poszła najpierw spojrzeć na śpiącą Missie i Clare'a. Panująca jeszcze ciemność nie pozwalała dokładnie ich dostrzec, ale dzięki strumieniowi światła wdzierającemu się przez okno Marta mogła zorientować się, że dzieci są przykryte i śpią spokojnie.

Udała się do kuchni i tak cicho, jak tylko było to możliwe, rozpałała ogień w starym, wysłużonym piecu. Czuła się szczególnie przywiązana do swojej kuchenki – *zupełnie tak samo jak mężczyzna do swego zaprzęgu* – pomyślała, uśmiechając się do siebie. Ona i kuchenka dobrze razem ze sobą współpracowały, dostarczając ciepło i pożywienie całej rodzinie. Czuła, że ze wszystkich rzeczy znajdujących się w domu kuchenka jest tym, co naprawdę należy do niej.

Ogień zaczął trzaskać. Marta nastawiła czajnik, by zagotować wodę na kawę. Chwilę potrwa, zanim piec ogrzeje pomieszczenie i zanim wrzątek będzie gotowy. Otuliła się mocniej szlafrokiem i sięgnęła na półkę po Biblię męża. Miała chwilę, by poczytać i pomodlić się, zanim obudzą się domownicy.

Tego poranka odczuwała szczególną Bożą bliskość. Zły sen, który dręczył ją w nocy, pomógł jej na nowo zobaczyć, jak wiele ma powodów do wdzięczności. Jej samopoczucie dodatkowo poprawiało oczekiwanie na budowę nowej szkoły. Przy Clarku czuła się kochana i bezpieczna, ale prawdziwie zrozumieć mógł ją jedynie Bóg, gdyż tylko On znał ją dokładnie, na wskroś. Cieszyła się, że może opowiedzieć wszystkie swoje myśli właśnie Bogu, któremu niedawno powierzyła całe swoje życie.

Siedziała, spokojnie popijając kawę, której ciepło stopniowo i przyjemnie ją ogrzewało. Czuła się odświeżona – zarówno fizycznie, jak i duchowo. Ponownie utkwiała wzrok we fragmencie rozłożonego na jej kolanach Pisma Świętego. Zdawało jej się, że werset, który czyta, jest przeznaczony właśnie dla niej, na teraz: *Bądź mężny i mocny, nie lękaj się, nie bój się ich, gdyż Pan, Bóg twój, idzie z tobą.*



Słowa te wyrażały obietnicę oraz pociechę, której potrzebowała szczególnie po tym, co jej się dziś przyśniło. *Samotność*. To słowo ją prześladowało. Była tak bardzo wdzięczna, że nie jest samotna. Jeszcze raz z głęboką pokorą i wdzięcznością przyjmowała prawdę o tym, że Ojciec Niebieski w swej wielkiej mądrości tak szybko połączył ją z Clarkiem po tragicznej śmierci jej pierwszego męża, Clema. Uświadomiła sobie, że zanim w wystarczającym stopniu doznała wewnętrznego uzdrowienia, pozwalającego na drugi związek, Clark już był gotów i na nią czekał. Dlaczego tak długo, każdą cząstką swego istnienia, opierała się, kiedy Bóg zapewniał jej schronienie? Ma Graham powiedziała, że serce i emocje potrzebują czasu, by doznać uleczenia. Marta była pewna, że to właśnie było powodem jej wewnętrznej walki. Musiała dać sobie czas... I dzięki cierpliwości ze strony Clarka, ponownie nauczyła się kochać.

*Kochać i być kochaną; stanowić część czyjegoś życia – oto jak cenny jest Boży plan dla stworzenia* – pomyślała, dolewając sobie kawy.

Czy kiedykolwiek umiałaby powiedzieć Clarkowi o tym wszystkim, co czuła? Wydawało jej się, że ubranie tego w słowa tak naprawdę nie odda we właściwy sposób jej prawdziwych uczuć. Próbowwała to wyrazić, ale słowa brzmiały tak nieadekwatnie... Próbowwała też powiedzieć to za pomocą spojrzeń i czynów... Tak naprawdę, mówiła mu o tym każdego dnia, na setki sposobów, całą sobą.

Małeństwo znów dało o sobie znać nagłym kopnięciem.

– A ty, skarbie – wyszeptała Marta – jesteś kolejnym potwierdzeniem naszej miłości. Mam na myśli nie tylko poczęcie

ciebie, ale też urodzenie cię i wychowanie. W tym też wyraża się nasza miłość. Jesteś kimś wyjątkowym. Nawet jeśli jeszcze nie wiemy, czy jesteś chłopcem czy dziewczynką. Jesteś wyjątkowe, ponieważ jesteś nasze – podarowane nam przez Boga. Niech Bóg ci błogosławi. Niech da ci silne ciało, umysł i ducha. Wzrastaj w latach i Bożej mądrości. Niech tata będzie z ciebie dumny... Na pewno będzie dumny. Bądź piękne i silne duchem – nawet jeśli twoje ciało będzie kruche albo twój umysł słaby. Znam twojego tatę i wiem, że to jest dla niego najważniejsze. I dla twojej mamy też...

Szelest w sypialni przerwał dalszą wewnętrzną rozmowę, którą Marta prowadziła ze swoim nienarodzonym dzieckiem. Za moment w kuchni pojawił się Clark.

– Wcześniej wstałeś – stwierdziła, witając męża z uśmiechem.  
– Ty też nie możesz spać?

– A myślisz, że łatwo wytrzymać w łóżku, kiedy w powietrzu unosi się zapach świeżo parzonej kawy? Jestem pewien, że niezamężnym kobietom łatwiej byłoby zwabić mężczyznę właśnie zapachem kawy, a nie jakichś drogich perfum.

Roześmiali się cicho. Marta chciała się podnieść, lecz Clark położył rękę na jej ramieniu.

– Nie wstawaj. Wiem, gdzie są kubki... Zwykle nie mogę sobie pozwolić na luksus spokojnego wypicia kawy przed pracą. Ale mógłbym się do tego przyzwyczaić.

Uśmiechnął się szeroko, po czym sięgnął po kubek. Wiedziała, że tak naprawdę Clark wcale by nie chciał, żeby wstała jeszcze wcześniej. Każdy jej dzień był przecież tak bardzo

wypełniony obowiązkami przy dwójce żywiołowych maluchów – i z trzecim w drodze.

Clark nalał sobie kawy i usiadł naprzeciwko niej przy stole. Wydawał się bacznie ją obserwować, a ona odczytywała w jego spojrzeniu miłość i troskę.

– Dobrze się czujesz?

– Tak.

– A mały jest grzeczny?

Marta się roześmiała.

– Kiedy wstałeś, siedziałam i rozmawiałam sobie z nią.

– *Z nią?*

– Według Missie to będzie dziewczynka...

– Zaniepokoiłaś mnie dziś w nocy.

– To nic takiego, tylko zły sen.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Chyba nie ma o czym. Przeraziło mnie znów to okropne uczucie osamotnienia. Właściwie nawet nie umiem ci tego opisać, ale... Clark, tak się cieszę, że tak naprawdę nigdy nie musiałam być sama, nawet gdy straciłam Clema. Ty i Missie od razu wypełniliście pustkę w moim życiu. Wiem, że długo cię nie akceptowałam, ale ty nie rezygnowałeś... To właśnie Missie sprawiała, że miałam wtedy o kim myśleć, miałam jakiś cel w życiu. Cieszę się, Clark. Jestem tak bardzo wdzięczna Bogu, że nie dał mi wyboru i wkroczył w moje życie w momencie, kiedy w ogóle o Nim nie myślałam.

Clark oparł się o stół i pogładził ją po policzku.

– Ja też się cieszę, pani Davis.

Powiedział to żartobliwie, ale z jego oczu emanowała miłość.

– Nigdy w życiu nie spotkałem kobiety, która umiałaby parzyć lepszą kawę.

Marta figlarnie odsunęła jego rękę.

– Kawę?! Też mi komplement.

Twarz Clarka przybrała nieco poważniejszy wyraz.

– Wiesz, tak naprawdę to spodobałaś mi się wcześniej, zanim jeszcze w ogóle zaparzyłaś mi pierwszą kawę. Nigdy nie zapomnę, jaka krucha i samotna mi się wydawałaś, kiedy stałaś przy zepsutym wozie, z całych sił próbując zachować się godnie. Zdawałem sobie sprawę, że pragnęłaś wtedy umrzeć, a ja w duszy płakałem razem z tobą. Nie przypuszczam, by ktokolwiek z zebranych na pogrzebie rozumiał twoje uczucia lepiej niż ja. Tak bardzo pragnąłem jakoś złagodzić twój ból.

Marta otarła łzę spływającą jej po policzku.

– Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłaś. Myślałam, że po prostu potrzebowałaś kogoś, kto zatroszczyłby się o małą Missie.

– Tak, to prawda. I chciałem, żebyś myślała w ten sposób. Przez pierwszych kilka miesięcy sam siebie również przekonywałem, że był to jedyny powód mojej propozycji. Potem w końcu musiałem przyznać, że chodziło mi o coś więcej.

Marta wyciągnęła rękę i uścisnęła mu dłoń.

– Przebiegły łobuzie! – zażartowała.

– Potem z twojej przyczyny przechodziłem przez najtrudniejsze miesiące w swoim życiu. Zastanawiałem się, czy poczujesz do mnie to samo, co ja czułem do ciebie, czy spakujesz swoje rzeczy i wyjedziesz. Wiesz, w tamtych dniach nauczyłem się więcej na temat modlitwy niż kiedykolwiek wcześniej. Nauczyłem się też cierpliwie czekać.

– Clark, ja wcale nie byłam tego wszystkiego świadoma – wyszeptała wzruszona. Uniosła jego dłoń do ust i pocałowała go w palec. – Postaram ci się to wynagrodzić.

Wstał z krzesła, nachylił się nad nią i musnął ustami jej czoło.

– W takim razie trzymam cię za słowo. Na początek, co byś powiedziała na mój ulubiony gulasz na kolację? Poproszę gości i z dużymi kawałkami mięsa.

Marta zmarszczyła figlarnie nos.

– Prawdziwy mężczyzna... – stwierdziła. – Myślisz, że jedyna droga, jaką kobieta może trafić do serca mężczyzny, prowadzi przez żołądek?

Clark zmierzwił jej luźno rozpuszczone włosy.

– Lepiej zajmę się swoimi obowiązkami, bo krowy pomyślą, że zupełnie o nich zapomniałem.

Pocałował ją w czubek nosa i wyszedł.





## Rozdział 2

# Rozmyślania

Następnego dnia słońce wschodziło rzucając różowo-złotą poświatę nad rzędem jodeł pokrytych resztkami śniegu. Zapowiadał się ładny dzień, sprzyjający budowie. Marta wstała z łóżka i podziękowała Bogu za pogodę. Niepotrzebnie zamartwiała się o to, co będzie, jeśli dzień przyniesie jeszcze jedną zamieć. Dzisiaj okazało się, że pogoda jest wymarzona. Marta przeprosiła Boga za brak wiary. A tak w ogóle to przecież Jego dobroć jest niezależna od tego, czy pada deszcz czy też świeci słońce. Marta szybkim krokiem poszła do kuchni.

Dzisiejszego poranka Clark wstał wcześniej niż ona i poszedł już do swoich codziennych obowiązków. Najpierw jednak rozpałił w piecu ogień i teraz przyjemne ciepło rozchodziło się po całym domu. Marta spieszyła się, by zdążyć podać śniadanie na stół, zanim w kuchni pojawią się dzieci.

Kiedy stała przy kuchence, mieszając owsiankę, do kuchni wszedł zaspany Clare, z ledwo otwartymi oczami, koszulą na

wierzchu i źle zapiętymi szelkami od spodni. Jeden but trzymał pod pachą, a drugi, niezawiązany, miał na nodze.

– Gdzie tata? – zapytał.

Marta uśmiechnęła się na widok małego chłopca ze zmierzwioną czupryną.

– Pracuje przy zwierzętach – odpowiedziała. – Pewnie już prawie skończył, więc musisz się pospieszyć, jeśli chcesz do niego dołączyć. Chodź, pomogę ci.

Włożyła mu koszulę do spodni, zapięła poprawnie szelki i posadziła go na krześle, by zasznurować mu buty.

– To już dzisiaj? – zapytał.

– Tak, dzisiaj do wieczora powinien powstać budynek szkoły.

Clare zamyślił się przez chwilę. Mówił już Marcie, że nie jest przekonany do tej szkoły i nie wie, czy ją polubi, ale wszyscy byli bardzo entuzjastycznie do niej nastawieni. Uśmiechnął się serdecznie.

– Lepiej już pobiegnę – powiedział, zsuwając się z krzesła.

– Dobrze, że nie idę do szkoły: mój tata potrzebuje mnie na gospodarstwie.

Marta uśmiechnęła się. *Pewnie, że cię potrzebuje – pomyślała – potrzebuje cię, byś wchodził mu w paradę, kiedy idzie karmić zwierzęta... potrzebuje cię, żebyś uparcie chciał nieść wiadro z mlekiem, które jest dla ciebie za ciężkie... potrzebuje cię, byś spowalniał jego kroki, kiedy wyprowadza bydło na pastwisko... potrzebuje twojego nieustannego radosnego paplania.* Pokręciła głową, lecz uśmiech nie zniknął z jej twarzy. *Tak, on naprawdę cię potrzebuje... potrzebuje twojej miłości i uwielbienia.*



Schyliła się, by przytulić chłopca, a następnie pomogła mu założyć ciepłą kurtkę. Wsunęła mu na ręce rękawiczki, włożyła na głowę czapkę i otworzyła drzwi. Wybiegł w pośpiechu na poszukiwanie taty. Wokół niego radośnie podskakiwał i poszcze kiwał Ole Bob.

Marta wróciła do przygotowywania śniadania, od czasu do czasu zerkając w kierunku drzwi do sypialni dzieci. Będzie musiała obudzić Missie, która była prawdziwym śpiochem i nigdy nie wyskakiwała z łóżka tak żwawo, jak czynił to każdego poranka Clare. Missie również lubiła przygody i zabawy, ale wolała odłożyć te przyjemności na później, kiedy będzie dobrze wyspana. Była z niej już świetna mała pomocnica. Towarzyszyła Marcie w domowych obowiązkach i razem z nią oczekiwała na narodziny maleństwa – jej „małej siostrzyczki”. Ze względu na Missie Marta miała nadzieję, że to będzie dziewczynka. Kochała Missie jak własną córkę...

Nakrywając do stołu, zastanawiała się, ile znanych jej z sąsiedztwa kobiet jest tak samo żywo podekscytowanych nową szkołą. Nie chciała, by dzieci z okolicy zostały analfabetami, i to tylko dlatego, że ich rodzice zaryzykowali wyruszenie na Dzikie Zachód, by tam ułożyć sobie życie. Chcieli dobrze wychować i wykształcić następne pokolenie, by mogło w przyszłości odnaleźć swoje miejsce w społeczności – tej lub jakiegokolwiek innej.

Marta pomyślała o dwóch córkach swojej przyjaciółki, Tiny Larson. Jej mąż Jedd uważał, że nowa szkoła wcale nie jest im potrzebna i nazywał pomysł jej powstania „zwykłą głupotą”. Był zdania, że dziewczęta nie potrzebują edukacji. Lecz z błagalnego wzroku Tiny można było wyczytać, jak bardzo pragnie, by jej

dziewczynki również miały możliwość nauki. Była to dla nich ostatnia szansa, zważywszy na ich wiek: trzynaście i jedenaście lat. Potrzebowały skorzystać z tej szansy, zanim będzie dla nich za późno.

Tego poranka, krzątając się w kuchni, Marta gorliwie modliła się, by Bóg zmienił serce Jedda w tej sprawie.

W czasie modlitwy wyjrzała przez kuchenne okno i zobaczyła swoich *mężczyzn* wracających z obory. Kroki Clarka, normalnie długie, były teraz spowalniane przez szybkie dreptanie małego Clare'a. Chłopiec trzymał się kurczowo uchwyty wiadra z mlekiem, w przekonaniu, że pomaga ojcu w niesieniu ciężaru, a po drodze radośnie do niego szczebiotał. Ole Bob podskakiwał przed nimi tam i z powrotem, sądząc zapewne, że wskazuje im drogę, jakby bez niego mieli nigdy nie trafić tam, gdzie trzeba.

Marta poczuła ucisk w gardle. Czasami miłość sprawia ból – lecz jest to zawsze ból bezcenny.



Tego poranka rodzina Davisów jako pierwsza przybyła nad rzekę. Mieli najbliżej, jako że grunt przeznaczony na budowę szkoły został wydzielony z kawałka gospodarstwa Clarka.

Clark odwiązał konie z zaprzęgu, po czym zaczął odmierzać teren. Wbijał paliki, którymi wyznaczał obszar budynku.

Clare truchtał wokół ojca. W zależności od potrzeby, podawał mu młotek albo paliki. Ogólnie rzecz biorąc, trochę pomagał, a trochę przeszkadzał.

W wozie gospodarczym umieszczono stary piec, w którym Marta prędko rozpałała ogień i wstawiła do zagotowania wodę.

Piec nie działał co prawda tak dobrze jak jej kuchenny, ale zawsze był lepszym rozwiązaniem niż zwykłe ognisko. Przyda się kobietom do przygotowania dla wszystkich gorącego posiłku.

Missie zdjęła z głowy czepek, spod którego niczym sprężynki wyskoczyły jasnobrązowe loczki. Upajała się przyjemnym ciepłem słońca. Podprowadziła zaprzęg do pobliskich drzew, gdzie przywiązała konie i zrzuciła im siano na śniadanie.

Wkrótce zaczęły przybywać kolejne wozy. Miejsce wypełniło się radosną, pełną podekscytowania atmosferą. Dzieci biegały, piszczały i ganiały się wokoło. Nawet Clare oderwał się na chwilę od naśladowania we wszystkich czynnościach ojca i poszedł bawić się z rówieśnikami.

Kobiety rozprawiały, nawoływały się po imieniu i śmiały się głośno. Witały się wylewnie, po czym zabierały się do przygotowywania posiłku.

Mężczyźni z powagą oglądali bale, zastanawiając się, które najlepiej nadają się na podstawę. W myślach ustalali kolejność, w jakiej należało je kłaść. Następnie w ruch poszły siekiery i piły. Umięśnione ręce wymierzały pewne uderzenia, a barczyste plecy pochylały się, by zgodnie, jednym ruchem, podnosić ciężkie bale i umieszczać je na właściwym miejscu. Marta ze swego rodzaju dumą obserwowała Clarka, którego zdolności przywódcze budziły szacunek i posłuch wśród mężczyzn.

Praca była ciężka, jednak łatwiejsza do wykonania przy tylu osobach do pracy i przynosiła wszystkim satysfakcję. Od czasu do czasu serdeczne śmiechy przeplatały się z odgłosami realizowanych zadań. Po pewnym czasie, kiedy postawiono już ściany i każda belka zajęła swoje miejsce, widać było kształt budynku.

Wczesnowiosenne słońce dawało przyjemne ciepło. Rozgrzani wysiłkiem pracujący zdejmowali kurtki.

Stary piec spełniał swą rolę. Nad okolicą unosił się zapach parzonej kawy. W wielkim garze bulgotał wieprzowo-wołowy gulasz z fasolą, wydzielając smakowity aromat.

W pewnym momencie biegnące nieopodal dziecko zatrzymało się w pół kroku i pociągając z zachwytem nosem, zapytało, czy obiad jest już gotowy. W tej samej chwili dźwigający wielką belkę mężczyzna odwrócił się przez ramię i zawołał z zapytaniem, kiedy będzie podany posiłek. Kobieta, która stała przy piecu i mieszała potrawę, odpowiedziała, że muszą poczekać jeszcze trochę, po czym obdarzyła uśmiechem małego chłopca i poklepując go po ramieniu, zachęciła, by biegał dalej. Na pewno przy tym wyobrażała już sobie własne dziecko stojące przy czarnej tablicy szkolnej i rozwiązujące zadania matematyczne.

Wiele rzeczy składało się na wyjątkowość tego dnia i jego atmosferę... słońce, śmiechy i układanie bali; lecz przede wszystkim obietnica... Wszyscy wrócą tego dnia do domu zmęczeni na ciele, a mimo to pokrzepieni na duchu; ze świadomością, że razem dokonali wspaniałej rzeczy – i to nie dla samych siebie, lecz dla przyszłych pokoleń. Dali z siebie wszystko i podjęli się ogromnego trudu, by inni w przyszłości zebrali owoce ich pracy.

Zanim udali się do domu, Marta, Clark oraz grupa sąsiadów stanęli dumnie i patrzyli na nową konstrukcję. Ben Graham najlepiej podsumował uczucia wszystkich, mówiąc:

– Chyba każdy z nas czuje się dziś trochę wyższy.



### Rozdział 3

## *Maty Arnie*

*M*arta z ociąganiem brała się tego dnia do przygotowania obiadu. Clark miał wkrótce wrócić z pracy i, dzięki Bogu, dzisiejsze obowiązki nie powinny zająć mu dużo czasu.

Missie bawiła się w pokoju ze swoim młodszym bratem, zajęta wydawaniem mu rozkazów.

– Nie tak! Musisz to zrobić w ten sposób! – Marta słyszała wyraźnie niezadowolony głos Missie.

– Ale ja chcę właśnie tak – upierał się Clare i Marta była niemal pewna, że postawi na swoim. Chłopiec miał w sobie coś z jej upartości, musiała ze wstydem przyznać to sama przed sobą.

Zamieszała marchewkę w garnku, by nie przywarła do dna, po czym podeszła do kredensu. Wyjęła do pokrojenia chleb. Czuła się dzisiaj nieswojo – i wiedziała, co jest tego przyczyną.

Nerwowo zerknęła na zegar i wstrzymała oddech, gdyż złapał ją kolejny skurcz. Powinna już przestać chodzić. Miała nadzieję, że Clark wkrótce wróci.

Kiedy skurcz minął, Marta krzątała się dalej, układając chleb na talerzu i wyjmując masło. Odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy usłyszała, jak Ole Bob wita powracający zaprzęg i odprowadza Clarka do obory.

Clare najprawdopodobniej też to usłyszał i przybiegł do kuchni. Był niewątpliwie szczęśliwy, że udało mu się uwolnić od rozkazów Missie. Bardziej niż zabawę ze starszą siostrą cenił powrót do świata mężczyzn i wspólnych zajęć, w których żadna kobieta im nie przeszkadza. Marta pokręciła głową, tłumiąc śmiech, gdyż chłopiec tak się spieszył, że w podeksycowaniu, sięgnąwszy po swoją kurtkę zawieszoną na haczyku, włożył rękę nie do tego rękawa, co trzeba. Za chwilę odkryje swój błąd i będzie się poprawiał w biegu.

Clark rzeczywiście szybciej niż zwykle uwinął się dzisiaj z pracą i wrócił wcześniej. Wszedł do domu z wiadrem świeżego, spienionego mleka, które „pomagał” mu nieść Clare.

Kiedy mężczyźni myli ręce w misce na zewnątrz, Marta stawała na stół jedzenie, po czym zmęczona opadła na swoje krzesło i czekała, aż wszyscy zajmą miejsca.

Clark pomodlił się, a następnie zaczął nakładać jedzenie dla siebie i syna. Potem zerknął na Martę i zatrzymał wzrok na jej twarzy.

– Martwisz się czymś? – spytał cicho.

Marta zmusiła się do uśmiechu.

– Myślę, że już się zaczyna.

– Już?! – wykrzyknął, z głośnym brzęknięciem odstawiając na stół miskę z ziemniakami.

– To dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? Biegnę po lekarza!

Skoczył na równe nogi.

– Usiądź i najpierw zjedz kolację – poprosiła Marta, lecz gdy to mówiła, Clark już kręcił przecząco głową.

– Najlepiej będzie, jeśli położysz się do łóżka – stwierdził, a następnie zwrócił się do dzieci: – Missie, pilnuj Clare'a.

Popatrzył dziewczynce prosto w oczy.

– Missie, niedługo urodzi się maleństwo. Mamusia musi położyć się do łóżka. Skończcie jeść z Clare'em kolację, a potem posprzątaj ze stołu. Ja jadę po lekarza. Zaraz wrócę, a ty jesteś już duża. Zajmiesz się wszystkimi sprawami w domu, dopóki nie przyjadę z powrotem. Jeśli mamusia będzie czegoś potrzebowała, przyniesiesz jej, słyszysz?

Dziewczynka przytaknęła z powagą.

– A teraz – powiedział do Marty, pomagając jej wstać z krzesła. – Połóż się do łóżka, bez dyskusji.

Marta pozwoliła się odprowadzić do sypialni. Łóżko było tym, czego naprawdę teraz potrzebowała najbardziej. Drugą ważną potrzebą – jak sobie nagle uświadomiła – była obecność Ma Graham.

– Clark...? – zapytała, kiedy przykrywał ją kołdrą. – Czy my naprawdę musimy wzywać lekarza?

– Oczywiście, że tak – odpowiedział, zatrzymując się na chwilę i mierzając ją wzrokiem. – Przecież od tego tu go mamy.

– Ale ja wolałabym, żeby przyjechała Ma. Clark, proszę cię... Ma poradziła sobie wspaniale ostatnim razem i może mogłabym...

– Kiedy coś pójdzie nie tak, lekarz wie, co robić. Wiem, że Ma przyjmowała wiele porodów i przeważnie wszystko szło gładko, ale jeśli wystąpią jakieś komplikacje, nikt inny nie poradzi sobie lepiej niż lekarz.

Po policzku Marty spłynęła łza. Nie miała nic przeciwko lekarzowi, ale wolała mieć przy sobie Ma Graham.

*Nie bądź głupia* – ganiła samą siebie, ale pragnienie obecności Ma nie ustępowało i kiedy poczuła kolejny skurcz, wzmogło się jeszcze bardziej.

Clark zdjął z wieszaka za drzwiami koszulę nocną i pomógł jej się przebrać.

Gdy już przykrył Martę kołdrą, pocałował ją i obiecał, że zaraz wróci. Marta zauważyła, że jego twarz stała się blada, a ruchy szybkie i nerwowe. Wyszedł z pokoju niemal biegiem i chwilę później usłyszała tętent konia wyjeżdżającego galopem z podwórza.

Z kuchni dochodziły ją dziecięce rozmowy. Missie wciąż wydawała rozkazy bratu, pouczając go, żeby się pospieszył, umył swój talerz i zachowywał się cicho, bo mama musi odpocząć, zanim urodzi im siostrzyczkę.

Marta bardzo chciała się zdrzemnąć, ale nie było to możliwe, gdyż kolejne skurcze pojawiały się ze wzmożoną siłą i częstotliwością.

Missie stukała talerzami i sztućcami, kiedy sprzątała ze stołu, chociaż Marta wiedziała, że dziewczynka naprawdę się stara być jak najciszej. Potem usłyszała, jak zmusza Clare'a, by położył się już do łóżka. Mały protestował, tłumacząc, że jest jeszcze za wcześnie, aby iść spać, ale Missie go nie słuchała i dopięła



swego, co Marta przyjęła ze zdziwieniem oraz ulgą. Clare leżał już w łóżku, gotowy do snu.

Missie wetknęła głowę przez drzwi do sypialni, by zdać raport z wykonanych czynności. Na szczęście było to w przerwie pomiędzy skurczami, więc Marta mogła jej odpowiedzieć. Przytuliła ją, podziękowała za pomoc i poprosiła, by też poszła się położyć, na co Missie poważnie pokiwała głową i spełniła prośbę mamy.

Godziny wlokły się bardzo powoli. Skurcze pojawiały się teraz jeden za drugim, w krótkich odstępach czasu. Były coraz mocniejsze i trudniejsze do zniesienia bez wydawania jęku.

Marta usłyszała szczekanie Ole Boba. Zdziwiła się, że lekarz przybył tak szybko. Lecz po chwili uświadomiła sobie, że osobą, która pochyla się nad nią, jest Ma Graham.

– Jednak przyszłaś...? – spytała Marta zaskoczona, ale i wdzięczna. Po jej policzkach spłynęły łzy ulgi. – Skąd wiedziałaś?

– Clark zatrzymał się u mnie po drodze i powiedział, że mnie potrzebujesz.

– Myślałam, że pojechał po lekarza.

– Tak, pojechał... Lekarz przyjmie poród. Clark powiedział mi, że potrzebujesz mojego wsparcia i pociechy.

Ma odgarnęła Marcie spadające na twarz włosy.

– Jak się czujesz?

Marta zdobyła się na nikły uśmiech.

– Dobrze... To chyba nie będzie trwało tak długo jak ostatnio, z Clare'em.

– Raczej nie – odpowiedziała Ma i poklepała Martę zachęcająco po grzbiecie dłoni. – Sprawdzę, czy maluchy śpią i przygotuję rzeczy dla lekarza. Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

– Dziękuję – odpowiedziała z lekkim skinieniem głowy – dziękuję, że przyjechałaś. Przy tobie czuję się o wiele spokojniej.

Ma kilka razy wchodziła do sypialni, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. W pewnej chwili Marta usłyszała kilka niewyraźnych szeptów, które przeplatały się z głosem Ma w kuchni. Docierały do niej jak przez mgłę, lecz wyraźnie się zbliżały. Wreszcie zobaczyła, że lekarz stoi tuż przy jej łóżku i cicho rozmawia z Ma Graham. Z drugiej strony nachylał się nad nią Clark i szeptał słowa otuchy.

Marta czuła się jakby poza tym wszystkim, co działo się dookoła, aż do momentu, gdy usłyszała przenikliwy krzyk nowo narodzonego dziecka.

– Już jest... moja maleńka – wyszeptała.

– Jest, ale *maleńki* – odparł lekarz donośnym głosem. – Kolejny zdrowy syn!

– Missie będzie zawiedziona – rzekła ledwo słyszalnym szeptem, ale doktor od razu jej odpowiedział:

– Nikt nie będzie rozczarowany takim wspaniałym chłopcem!

Po paru chwilach dziecko leżało już obok niej. W świetle lampy mogła zobaczyć i przekonać się, że chłopczyk naprawdę jest śliczny, a miłość do tej maleńkiej istotki rozlała się przyjemnym ciepłem po całym jej ciele.

Wkrótce był przy niej również Clark. Patrząc rozpromieniony na swego syna, pocałował Martę w czoło.

– Kolejny syn na medal! – powiedział z dumą.

Marta przyznała mu rację i uśmiechnęła się lekko.

Clark wyszedł i za chwilę pojawił się z dwójką zaspanych dzieci, które trzymał na obu rękach. Nachylił się z nimi nad noworodkiem:

– To wasz nowy braciszek – wyszeptał. – Popatrzcie, jak sobie słodko śpi. Czyż nie jest śliczny?

Clare tylko wpatrywał się w maleństwo z szeroko otwartymi oczami.

– Chłopak? – zdziwiła się Missie. – Miała być dziewczynka. Modliłam się przecież o siostrzyczkę...

– Czasami – tłumaczył jej powoli Clark – Pan Bóg wie lepiej niż my, co jest dla nas najlepsze, więc często zamiast dać nam to, o co Go prosimy, daje nam to, co *według Niego* jest dla nas dobre. Jestem przekonany, że ten mały chłopczyk musi być w Bożych oczach kimś szczególnym, skoro Bóg podarował nam jego, a nie dziewczynkę.

Missie słuchała uważnie. Za chwilę, kiedy zobaczyła, jak maleństwo przeciąga się i ziewa przez sen, na jej twarzy pojawił się szczerzy uśmiech.

– Jest strasznie słodki, tato, prawda? – wyszeptała. – Jak mu damy na imię?

Niemowlę otrzymało imię Arnold Joseph, a nazywali go po prostu mały Arnie.

Clare, któremu młodszy brat wydawał się okropnie nudny, narzekał, że „mały Arnie nic nie robi, tylko śpi” – ale mimo to

gotów był oddać za niego wszystko. Missie matkowała małemu, zabawiała go i zastanawiała się na głos, jak mogła kiedyś w ogóle myśleć, że siostra byłaby lepsza.

Wszystko zaczęło wracać do normy. Zboże zostało zasiane, tak samo warzywa w ogrodzie. Marta ciągle była zajęta od wczesnego rana do późnego wieczora, bo maleństwo, choć sprawiało jej wiele radości, oznaczało też mnóstwo dodatkowej pracy. Dni miała wypełnione po brzegi obowiązkami, lecz ogarniało ją przy tym uczucie szczęścia i miłości.



#### Rozdział 4

## Odwiedziny

**M**ały Arnie był zdrowym i silnym chłopcem, który szybko się rozwijał. Był oczkiem w głowie rodziny, trafiającym do serc wszystkich jej członków radosnym uśmiechem i gaworzeniem. Ignorował pouczenia Missie na temat prawidłowego raczkowania i po swojemu, tak jak umiał, pełzał po podłodze na brzuszku.

Po jesiennych zbiorach Clark uznał, że ten rok był jak dotąd najbardziej urodzajnym ze wszystkich, które spędzili tu na Zachodzie.

Marta dzielnie poradziła sobie z przetworami z warzyw i owoców z ogródka. Bardzo cenna okazała się pomoc Missie, która w tym czasie zajmowała się Arniem i miała na oku Clare'a.

Jedynym rozczarowaniem tej jesieni była nowa szkoła. Latem mężczyźni, pomimo wytężonej pracy na polach, zdołali wygospodarować dodatkowy czas na pokrycie dachu, zamontowanie okien i położenie podłogi. Zainstalowali także piec oraz wykonali proste ławki. Zgromadzili stosy drewna, które zostały starannie ułożone przy budynku, na szkolnym podwórzu.

Wzniesli proste wiaty dla koni i potrzebne zabudowania gospodarcze. Wewnątrz budynku zawiesili szkolne tablice – ale nadal panowała tu pustka i cisza. Mimo usilnych starań komitetu nie udało się znaleźć nauczyciela.

Z tego powodu Marta często sypiała dość niespokojnie. Wydawało jej się to takie niesprawiedliwe... Tak bardzo marzyli o szkole dla swoich dzieci i tak wiele ciężkiej pracy włożyli w postawienie tego budynku... a teraz okazało się, że przez kolejny rok szkoła będzie świecić pustką, a dzieci pozostaną bez możliwości nauki. Mówiło się o oddaniu szkoły do użytku w przyszłym roku, ale kolejny rok oczekiwania to przecież bardzo długo. Szczególnie dla takich dzieci, jak córki Larsonów, dla których możliwości edukacyjne stawały się coraz mniej realne.

Pewnego poranka Marta znów zajęta była przetworami, gdy nagle usłyszała odgłos zbliżającego się zaprzęgu. Zważywszy na to, że sąsiedzi mieszkali w znacznej odległości od siebie, wizyty nie należały do częstych; dlatego jeśli już się zdarzały, goście zawsze byli mile widziani. Marta wytarła ręce w fartuch, wyjrzała przez okno i zobaczyła, że Clark wita się z Wandą Marshall i zabiera jej zaprzęg w stronę obory.

Kiedy Wanda skierowała się w stronę domu, Marta uświadomiła sobie, że jej ręce i fartuch są całe brudne i poplamione. Zrzuciła więc fartuch, po czym wyjęła z szuflady świeży. Zawiązała go szybko i podeszła do drzwi. Czuła, jak kąciki jej ust układają się w pogodny uśmiech.

Przywitała Wandę i serdecznie ją uściskała, a potem obie zaczęły mówić jednocześnie.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała Marta. – Wybacz ten bałagan w kuchni. To przez te przetwory...

– Nie przejmuj się bałaganem – uspokoiła ją Wanda – nie powinnam się tu zjawiać, kiedy jest czas robienia przetworów. Wiem, że jesteś bardzo zajęta, ale nie mogłam się powstrzymać, musiałam się z tobą zobaczyć.

– Gdybyś miała czekać na odpowiednią porę odwiedzin, chyba byś się nie doczekała. Rzadko mi się zdarza mieć wolny czas. Codziennie jest tyle samo pracy, a ja tak bardzo tęsknię za spotkaniami z przyjaciółmi. Cieszę się, że wpadłaś...

Jako gospodyni Marta czuła, że powinna poczekać i pozwolić Wandzie spokojnie opowiedzieć o tym, co nowego działo się u niej, ale rozpromieniona twarz sąsiadki zmusiła ją do zadania pytania:

– Ale co u ciebie? Wyglądasz na szczęśliwą i chyba bardzo chcesz mi o czymś opowiedzieć.

Wanda roześmiała się jak mała dziewczynka. Marta nigdy nie widziała jej tak pogodnej.

– Och, Marto! – westchnęła Wanda. – Masz rację, jestem bardzo szczęśliwa – znowu się roześmiała i wzięła głęboki oddech. – Byłam właśnie z wizytą u doktora Watkinsa. Będę miała *dziecko!*

– Och, Wando! – zdążyła wykrzyknąć Marta, zanim Wanda kontynuowała:

– Doktor Watkins mówi, że nie widzi powodu, bym nie mogła utrzymać tej ciąży. Nie mam podstaw obawiać się, że dziecko nie przeżyje. Cam jest taki przejęty. Mówi, że nasz syn będzie

najprzystojniejszym, najsilniejszym i najmądrzejszym chłopcem na całym Zachodzie.

– Cóż, podejrzewam, że Clark też miałby coś do powiedzenia na ten temat – zażartowała Marta.

– A kiedy zapytałam, co jeśli to będzie córeczka, odpowiedział, że będzie najpiękniejszą i najśłodszą dziewczynką w całej okolicy. Marto, jestem taka szczęśliwa, że aż chce mi się płakać, kiedy o tym pomyślę...

Ledwo kończąc te słowa, Wanda rzeczywiście uroniła kilka łez.

Marta podeszła do niej i objęła ją ramionami. Rozpląkały się razem, nie wstydząc się łez radości i wzruszenia, które spływały im po policzkach.

– Wando, tak bardzo się cieszę – zdołała w końcu wykrztusić z siebie Marta. – Nie musisz się obawiać, skoro teraz mamy na miejscu lekarza. Na pewno wszystko pójdzie dobrze. Jestem tego pewna. Urodzisz w końcu upragnione dziecko, na które tak długo czekałaś... A w ogóle kiedy spodziewasz się rozwiązania?

– Oj, to się wydaje takie odległe; dopiero w kwietniu przyszłego roku – odpowiedziała Wanda.

– Nie martw się, miesiące szybko miną, zobaczysz. Masz przynajmniej całą zimę, by się odpowiednio przygotować na przyjście dziecka. Uszyjesz mu ubranka, kołderki, zgromadzisz inne potrzebne rzeczy... Czas szybko zleci, a może się jeszcze okazać, że nie ze wszystkim zdążysz.

– Mam taką nadzieję... A przy okazji, czy mogłabyś pokazać mi wzór na ten sweterek, który Arnie miał na sobie w zeszłą niedzielę? Może zrobiłabym taki sam?



– Jasne, robiłam go na szydełku, to prosty ścieg.

Pijąc kawę i częstując się ciasteczkami, Wanda przypatrywała się, jak Marta objaśnia jej wzór i sposób wykonania małego sweterka dla dziecka. Potem wszystko skrzętnie zanotowała.

Ani się obejrzały, a zrobiło się popołudnie. Kiedy Arnie i Clare obudzili się z drzemki, Wanda stwierdziła, że musi się już zbierać. Marta posłała Missie do Clarka z prośbą o przygotowanie zaprzęgu gościa w drogę powrotną. Kobiety uściskały się serdecznie i Wanda odjechała do domu.

– To najwspanialsze wieści, jakie mogła przynieść Wanda – powiedziała Marta do męża. – Wreszcie będzie miała upragnione dziecko, na które tak długo czekała. Jest taka podekscytowana. Modlę się, żeby tym razem wszystko dobrze poszło.

Marta wiedziała, że Clark też ucieszył się z tej wiadomości, więc kontynuowała:

– ...A wiesz, Cam mówi, że jeśli urodzi się syn, to będzie najprzystojniejszym i najmądrzejszym chłopcem na całym Zachodzie, a jeśli córka, to będzie najpiękniejsza. Powiedziałam Wandzie, że mógłbyś się z nim spierać na ten temat... – i oboje zaczęli się śmiać.

W oczach Clarka dostrzegła jednak głębokie zamyślenie.

– Chyba nie miałaś jeszcze okazji lepiej poznać Camerona Marshalla, prawda?

– Widziałam go tylko kilka razy na spotkaniach sąsiedzkich. A dlaczego pytasz?

Clark zrobił jeszcze poważniejszą minę.

– Wiesz, to dziwny człowiek – odpowiedział i zatrzymał się na chwilę. – On naprawdę myśli, że jego syn musi być

najmądrzejszy, a córka najpiękniejsza... To cały Cam. – Znowu przerwał na moment. – Myślę, że tylko z tego powodu poślubił Wandę: uważał, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał. Dlatego *musiała* być jego. Problem Camerona polega na tym, że on zawsze musi mieć wszystko to, co najlepsze. Pamiętam, jak pewnego razu zobaczył pięknego konia. Chciał go za wszelką cenę zdobyć, ponieważ uznał, że nikt nie ma takiego w całej okolicy. Sprzedał więc całe swoje zboże, by go kupić. Naraził się na wielkie koszty, ale miał swojego konia, „lepszego od innych”. Chyba stwierdził, że z tego powodu warto się zadłużyć. A ten jego wóz? Wymalowany, z metalowymi ozdóbkami... Zamiast niego mógł mieć większy dom. Sąsiedzi wspinałomyślnie chcieli pomóc mu zebrać drewno na budowę. On jednak, kiedy zobaczył ten wóz, sprzedał odłożone drewno i kupił go. Dlatego wciąż mieszkają z Wandą w tej jednej małej izbie. Cam patrzy na to tak: dom należy do kobiety, nie do mężczyzny. Chciałbym, żeby wreszcie wpadł na pomysł, że chce mieć najładniejszy dom. Na pewno znalazłby sposób, żeby i w tym dopiąć swego. Tak byłoby lepiej dla Wandy, szczególnie teraz, kiedy oczekują dziecka. Przydałoby im się przecież więcej miejsca...

Kiedy Clark kończył swój wywód na temat Cama, był zapatrzony w oddalone szczyty gór. Marta nie miała pojęcia, jakiego pokroju człowiekiem był Cameron Marshall. Poczula się bezsilna i żałowała, że nic nie może poradzić, by jakoś pomóc przyjaciółce.

– Zawsze zastanawiałem się, co takiego sprawia, iż człowiek czuje się tak bardzo niedowartościowany, że musi udowadniać swoją wartość zdobywaniem dóbr materialnych. Cama musi

gnębić coś więcej. Musi być jakaś głębsza przyczyna jego postępowania – zadumał się Clark.

Zrobił głęboki wdech i zdawał się powoli wychodzić ze swojego zamyślenia.

– Mam nadzieję, że maluch naprawdę okaże się cudowny, bo inaczej jego tata będzie bardzo nieszczęśliwy.

Odwrócił się twarzą do Marty i uśmiechnął się.

– Przepraszam, nie chciałem zgasić twojego entuzjazmu. Jestem pewien, że Cam znajdzie powód do dumy, a Wanda... Cieszę się, że będzie miała dziecko. Na pewno podniesie ją to na duchu.



Na dworze zrobiło się chłodno. Zima była tuż za pasem. Kiedy Marta pakowała do pojemnika chleb, rosół, warzywa i ciasteczka, odczuwała wdzięczność, że wiatr nie zaczął jeszcze wiać.

O poranku dostała wiadomość, że Tina Larson jest bardzo chora. Prawdopodobnie to coś poważniejszego niż zwykłe przeziębienie czy grypa. Marta wiedziała, że powinna odwiedzić sąsiadkę, mimo że zapowiadała się wichura.

Clark nie lubił, kiedy Marta wybierała się daleko od domu. Ponieważ Missie była za mała, by powierzyć jej opiekę nad chłopcami, nie miał innego wyjścia, jak zostać w domu z dziećmi.

Marta ubrała się najcieplej, jak mogła. Zabrała spakowane jedzenie i wyszła przed dom, gdzie Clark szykował już dla niej zaprzęg.

– Nie siedź tam zbyt długo – ostrzegął ją – a gdyby zaczęło mocniej wiać, zbieraj się czym prędzej do domu.

Marta obiecała, że wróci szybko. Owinęła się dokładnie ciepłym kocem i pojechała.

Kiedy z oddali zobaczyła zaniedbane gospodarstwo Larsonów, zauważyła, że z komina wydobywa się tylko cienka smuga dymu.

Nikt nie wyszedł, by pomóc jej z zaprzęgiem, więc sama przywiązała Dana i Charliego do najbliższego słupka na podwórzu. Zabrała z wozu pojemnik i szybkim krokiem podążyła w stronę domu.

Ktoś wyjrzał przez okno. Kiedy zbliżała się do drzwi, zasłona opadła na swoje miejsce. Na jej pukanie odpowiedziała młodsza córka Larsonów, Clae, która gestem zaprosiła ją do środka.

Jej siostra, Nandry, zmywała brudne naczynia w misce z równie brudną wodą. Krótka miotła oparta o stół świadczyła o tym, że Clae usiłowała przed chwilą zamieść podłogę.

*Cóż, przynajmniej się starają* – pomyślała Marta z wdzięcznością. Przywitała się z dziewczynkami i odwróciła się w stronę niemal wystygłego pieca. W izbie było chłodno i chociaż nie zdążyła jeszcze zdjąć płaszcza, przeszedł ją dreszcz.

Otworzyła drzwiczki pieca, w którym żarzył się ostatni kawałek drewna.

– Gdzie macie drewno? – zapytała, mając nadzieję, że zaraz dołoży do pieca, by w domu zrobiło się ciepiej.

– Nie ma. Tata nie narąbał, a my nie dajemy rady – wyjaśniła Clae.

– Macie jakąś siekierę?

– Tak, jakąś mamy...

Marta podeszła do rozsypanej sterty drewna na opał, która stanowiła ubogi zapas na zimę. Kiedy znalazła ową „jakąś” siekierę, okazało się, że nigdy w życiu nie widziała tak tępego i wyszczerbionego narzędzia. Z wielkim trudem narąbała choć tyle szczap, by ogrzać wychłodzony dom.

Postawiła na kuchence czajnik z wodą i weszła do małego pokoiku, w którym na wąskim łóżku leżała Tina Larson. Kobieta owinięta była kilkoma kocami. Marta odetchnęła z ulgą, widząc, że w pokoju panuje względny porządek, nie było na przykład żadnych ubrań rozrzuconych po podłodze. Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że pewnie wszyscy mieszkańcy tego domu mają w tej chwili całą swoją garderobę na sobie, żeby utrzymać ciepło.

Blada sąsiadka leżała w bezruchu pod skąpym przykryciem. *Że też nie pomyślałam, by przywieźć ze sobą grubą kołdrę* – napomniała samą siebie Marta i kiedy przemknęło jej to przez myśl, zobaczyła, że Tina drży z zimna. Stała blisko jej łóżka i łagodnie odgarnęła włosy opadające na szczupłą, niemal białą jak papier twarz.

– Jak się czujesz? – szepnęła.

Tina próbowała coś powiedzieć. Jej głos był stłumiony i zachrypnięty.

– Przyniosę ci zaraz trochę ciepłego bulionu – powiedziała Marta i szybko poszła z powrotem do kuchni. Postawiła rosół na kuchence, po czym przyniosła z wozu koc, którym była okryta w czasie drogi. Ogrzała go przy piecu i owinięła nim drżące ciało chorej.

Rosół szybko się zagrzał i Marta poprosiła Clae o talerz oraz łyżkę. Wyjęła z pojemnika chleb i podała go dziewczynce.

– A może ty i Nandry też chciałybyście zjeść trochę rosółu z chlebem, dopóki jest ciepły? – zapytała.

Głodny wzrok dziewcząt zdradzał, że obie mają ochotę na ciepłą strawę.

Tina Larson była za słaba, by zjeść samodzielnie, więc Marta ją nakarmiła. Chora przyjęła posiłek z wdzięcznością, wyrażając ją wzrokiem.

– Dziewczynki... – wyszeptała.

– Jedzą rosół – zapewniła ją Marta, co uspokoiło matkę.

Marta, podając Tinie kolejne łyżki zupy, mówiła ściszym głosem:

– Tak mi przykro, że źle się czujesz. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się o twojej chorobie. Jedd powinien był nam wcześniej o tym powiedzieć. Moglibyśmy już dawno przyjść wam z pomocą. Dobrze, że masz takie dzielne córki, które mogą ci pomóc w domu. Kiedy przyszłam, Nandry właśnie zmywała naczynia, a Clae zamiatała podłogę. Pewnie są dla ciebie wielką pociechą.

Oczy Tiny Larson nabrały blasku. Pokiwała lekko głową. Marta wiedziała, że sąsiadka bardzo kocha swoje córki.

– Wyobrażam sobie, jak wielką próbą jest dla ciebie ta choroba. Żadna z nas, kobiet nie lubi chorować. Nie możemy zatroszczyć się o dom, o rodzinę. Ale Bóg... – On wie, jak się czujesz. On również wie, czemu ta choroba ma służyć. Zawsze jest jakiś powód, bo On nas naprawdę kocha... Nawet jeśli nie zawsze od razu to wszystko pojmujemy. Pewnego dnia dowiemy się, dlaczego tak jest.

Kiedy rosół niemal zniknął z talerza, Tina nieznacznym ruchem ręki dała znak, że więcej już nie zje. Marta nie była pewna, czy Tina już się najadła, czy raczej jest zbyt osłabiona, by dalej jeść. W końcu Tina odezwała się słabym głosem. Najpierw mówiła wolno, przerywanymi zdaniami, które stopniowo łączyły się w płynną, coraz szybszą wypowiedź. Oddychała ciężko i widać było, jaki wysiłek musi wkładać w wypowiedzane słowa, ale bardzo potrzebowała przekazać Marcie to, co miała do powiedzenia.

– Moje dziewczynki – zaczęła – nigdy niczego nie miały... niczego. Chciałam dla nich zawsze jak najlepiej. Ich tata to dobry człowiek, ale on nie rozumie dziewcząt. Modliłam się... modliłam się o to, by w jakiś sposób Bóg dał im szansę, jakieś lepsze możliwości; tylko o to się teraz modlę. Nie martwię się o siebie. Ja przeżyłam już swoje życie. Nie mówię, że chcę już umierać. Boję się śmierci, bo nie jestem dobrym człowiekiem. Nie proszę Boga o nic dla siebie, tylko dla moich córek. Czy sądzisz, Marto, że Bóg słyszy moje modlitwy? Nie odważyłabym się do Niego modlić, ale tu chodzi o dziewczynki.

W tym momencie zaczęła cichutko łkać. Marta pogłaskała grzbiet szczupłej dłoni, którą Tina bezradnie ścisnęła koc.

– Oczywiście, że słyszy – odpowiedziała z głębokim przekonaniem.

Tina spojrzała na nią tak, jakby ktoś zdjął z niej ogromne brzemie.

– Czy On może okazać miłość dzieciom tak grzesznej kobiety jak ja?

W jej oczach widoczne było oczekiwanie potwierdzenia.

– Tak – powiedziała spokojnie Marta. – On kocha twoje dziewczynki i na pewno im pomoże. Jestem o tym przekonana. Ale posłuchaj mnie, Tino: On kocha również ciebie i chce ci pomóc. Naprawdę. Wiem, że jesteś grzeszna, bo nikt z nas nie jest bez winy. Biblia mówi, że wszyscy zgrzeszyliśmy i trzymamy się naszych grzechów, jakby były czymś cennym. Ale musimy się ich pozbyć. Bóg je od nas zabierze i złoży na ogromnym stosie, gdzie spoczywają wszystkie grzechy, które Jezus już dawno poniósł na krzyż tamtego dnia, kiedy za nas umarł. To nie na podstawie naszej dobroci znajdziemy się z Nim w niebie, ale na podstawie naszej wiary w Niego. Musimy Mu po prostu powiedzieć: „Dziękuję Ci, Panie, za Twoją śmierć i oczyszczenie mnie z grzechów, i za to, że przez wiarę jestem godzien tego, by dostać się do nieba”. Po takiej modlitwie On bierze naszą skażoną duszę i oczyszcza ją. On na pewno uczyni to również dla ciebie, jeśli Go tylko poprosisz.

Marta pogładziła ją znowu po włosach i rozpalonym czole.

– Czy chciałabyś się teraz pomodlić, Tino?

Tina Larson popatrzyła na nią zaskoczona.

– Nigdy się nie modliłam. To znaczy, nigdy nie modliłam się za siebie... tylko za dziewczynki. Nie wiedziałabym, co mam Bogu powiedzieć.

– To samo, co mnie przed chwilą – przypomniała jej łagodnie Marta. – Po prostu powiedz Bogu, że nie chcesz już więcej trwać w swoich grzechach, i poproś, by On je od ciebie zabrał. Potem podziękuj Mu za Jego miłość i oczyszczenie.

Tina Larson zawahała się, ale w końcu wypowiedziała krótką modlitwę. Słowa wdzięczności stopniowo przybierały na sile



i pewności. Kiedy Marta otworzyła załzawione oczy, zobaczyła uśmiech na twarzy Tiny. Jej oczy również wypełnione były łzami szczęścia.

– Zrobił to! – powiedziała zachrypniętym głosem. – Oczyszczył mnie z grzechów!

Marta ścisnęła jej rękę i otarła sobie łzy z policzków.

– Oczywiście, że to zrobił – potwierdziła. – I wysłucha też twoich pozostałych modlitw. Nie wiem, w jaki sposób na nie odpowie, ale jestem pewna, że to uczyni.

Marta wstała. Słońce szybko chyliło się ku zachodowi, wiedziała zatem, że powinna już wracać do domu.

– Tino, muszę już jechać. Obiecałam Clarkowi, że nie będę u was długo siedzieć, ale chcę, żebyś o czymś wiedziała. Jeśli cokolwiek by ci się stało – choć mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowiejesz – ale w razie czego zrobię wszystko, co w mojej mocy, by twoje córki miały szansę na lepsze życie.

Tina Larson zamilkła. Na moment jakby wstrzymała oddech. Marta uświadomiła sobie, że głębokie wzruszenie nie pozwalało jej mówić. Oczy chorej znów wypełniły się łzami.

– Dziękuję, bardzo ci dziękuję, Marto – wydusiła w końcu z siebie.

Marta lekko uścisnęła jej dłoń i odwróciła się w stronę wyjścia. Musiała się pospieszyć, by Clark jeszcze tego samego dnia zdążył przywieźć Larsonom trochę drewna i ciepłe kołdry.





## Rozdział 5

# Ekscytujące wieści

Marta skończyła przyszywać łaty do ogrodniczek Clare'a i odłożyła je na bok. Było jeszcze za wcześnie, by zacząć przygotowywać kolację. Sięgnęła po kolejną rzecz do cerowania, podczas gdy w jej głowie wolno przesuwały się wspomnienia wydarzeń z kilku poprzednich miesięcy.

Wielokrotnie odwiedziła Tinę Larson. Ma Graham i inne sąsiadki również jej pomagały, zawożąc ciepłe posiłki i troszcząc się o potrzeby rodziny. Tina nie wstawała z łóżka i z dnia na dzień słabła. Była jednak pogodna i spokojna. Choć nikt nie miał odwagi otwarcie tego powiedzieć, Marta wiedziała, że rodzina Larsonów toczy ostatni bój. Kilka dni temu wezwano lekarza, który pokręcił głową i zachęcił bliskich, by starali się zapewnić chorej jak najwięcej wygody i opieki. To wszystko, co można było dla niej zrobić.

Radosny śmiech dzieci bawiących się obok ciepłego pieca wyrwał Martę z zamyślenia nad chorobą Tiny Larson. Swoje myśli skupiła teraz na czymś bardziej radosnym.

Wkrótce miała nastać wiosna, a w kwietniu w sąsiedztwie urodzi się dwójka niemowląt. Marta była szczęśliwa, kiedy pomyślała o przyszłych matkach i pomodliła się, by wszystko dobrze poszło.

Pierwsza miała urodzić Wanda, która wcześniej trzykrotnie straciła już maleństwo. Tym razem z wielką nadzieją oczekiwała tego, które było w drodze. Marta uważała, że Wandzie należy się to szczęście. Teraz, kiedy na miejscu mieli już lekarza, zwiększyły się szanse Wandy na pomyślne rozwiązanie.

*Proszę Cię, Boże, pozwól, żeby Wandzie się udało* – modliła się Marta wielokrotnie w ciągu każdego dnia.

Drugie dziecko miało urodzić się Sally Anne. Pierwszy wnuk Bena i Ma Grahamów – to będzie dla nich na pewno wyjątkowe wydarzenie. Sally Anne wcześniej też miała nadzieję zostać matką, ale nie donosiła pierwszej ciąży. Teraz zbliżał się termin porodu i wszystko zapowiadało się pomyślnie. Marta wiedziała, że Sally Anne nie jest jedyną odliczającą dni do urodzenia się malucha.

Kiedy Marta myślała o dwóch nowych istotach, mających pojawić się na świecie w ciągu najbliższych miesięcy, zatrzymała wzrok na własnych pociechach, które radośnie bawiły się nieopodal niej.

Missie ubierała kotkę w ubranka dla lalek. Po wielu dyskusjach i prośbach Marta zgodziła się na wprowadzenie do domu jednej z kotek, które mieszkały w oborze. Missie nazwała ją Panią Kicią i traktowała jak dziecko. Żaden kot nie był otoczony tak wielką miłością jak Pani Kicia. Marta zastanawiała się, czy biedne zwierzątko choć na moment ma szansę zaznać spokoju.

Clare układał klocki, próbując zbudować z nich oborę. Klocki co chwilę rozsypywały się na kawałki słomy, czyli zwierzęta, które miały zamieszkać w oborze. Jednak Clare nie poddawał się i zaczynał od nowa.

Arnie, który potrafił już samodzielnie siedzieć, obserwował uważnie brata. Szczególnie fascynował go hałas powodowany spadającymi klockami. Za każdym razem, kiedy budowla runęła, gaworzył z zadowoleniem, a jego okrągłutkie ciało z zachwytem kołysało się w przód i w tył.

Clare czuł się w obowiązku wytłumaczyć małemu Arniemu, które kawałki słomy to konie, a które krowy, cielęta i świnie. Arnie słuchał z szeroko otwartymi oczami i reagował wesołym piskiem.

Kiedy z podwórza doszło radosne szczekanie Ole Boba, atmosfera w pokoju ożywiła się jeszcze bardziej. Clark wrócił z miasta. Marta przez najbliższą godzinę nie spodziewała się jego przyjazdu. Wstała więc szybko i sprawdziła czas na zegarze. Być może pomyliła się w odczytaniu godziny... Ale nie – rzeczywiście wciąż było dosyć wcześnie.

Clare podskoczył z dywanika.

– Tata przyjechał! – zawołał, nie zważając na to, że klocki runęły na podłogę i po raz kolejny przygniotły koniki i krowy ze słomy.

Marta chciała zawołać, by zatrzymał się i posprzątał zabawki, ale zrezygnowała. Przecież może posprzątać później, kiedy wróci na kolację. Jakże ważne było dla niego przywitanie się z tatą – nie inaczej dla Clarka.

Missie, trzymając na rękach owiniętą w kocyk kotkę, podeszła do drzwi.

– Ojej, ale Arniemu będzie smutno! – krzyczał Clare, biegnąc przez kuchnię.

– Co masz na myśli? – odkrzyknęła za nim Marta.

– On nie umie biegać – rzucił przez ramię i już go nie było. Marta usłyszała odgłos zatraskujących się za nim drzwi.

Uśmiechnęła się i podeszła do Arniego pozostawionego samotnie na dywanie.

– Jest ci smutno? – zapytała, podnosząc dziecko.

Arnie nie wyglądał na zmartwionego. Może raczej nieco zdziwionego tym nagłym zamieszaniem, ale w sumie był zadowolony, co potwierdził wesołym uśmiechem. Marta pocałowała go w policzek i wyjrzała przez okno w kuchni.

Spodziewała się zobaczyć Clare'a i Missie wdrapujących się na wóz, żeby przejechać się z Clarkiem do obory, więc tym bardziej była zaskoczona, kiedy ujrzała, że wszyscy troje zmierzają do domu. Maluchy podskakiwały przy ojcu, głośno mu coś jedno przez drugie opowiadając.

Clark również wydawał się podekscytowany. Marta podeszła do drzwi, by im otworzyć.

– Mam dobre wieści! – zawołał, podnosząc Martę z dzieckiem na rękach i obracając się z nimi po kuchni. Marta mocno trzymała rozradowanego Arniego.

– Clark, ostrożnie! – wykrzyknęła, z trudem łapiąc oddech.  
– Co się stało?

Clark nie przestawał się śmiać. Przytulił ją znowu mocno, a mały Arnie chwycił tatę za koszulę.

- Wspaniałe wieści – powiedział Clark – mamy nauczyciela!
- Nauczyciela?!
- Tak, w tym roku na jesień w naszej małej szkole zrobi się gwarno. W ruch pójdą książki, zeszyty i dzwonek... Słyszysz Missie?
- Zatrzymał się, by podnieść małą i obrócić się z nią dookoła.
- Mamy nauczyciela! – powtórzył. – Jesienią będziesz mogła zacząć chodzić do szkoły, jak prawdziwa dama!
- Prawdziwe damy nie chodzą do szkoły – zaprzeczyła Marta i roześmiała się. Gotowa wybuchnąć z ciekawości, chwyciła męża za ramię.
- Oj, Clark, przestań się już wygłupiać i powiedz nam coś więcej! – nalegała. – To wspaniała wiadomość! Missie, pomyśl, mamy nauczyciela do twojej szkoły! Czyż to nie jest cudowna nowina? A kto to jest? I skąd pochodzi?
- To pan Wilbur Whittle. Przyjedzie z dużego miasta na Wschodzie... nie mogę sobie teraz przypomnieć z jakiego, ale człowiek ma dobre wykształcenie. Pracuje w zawodzie od ośmiu lat i chce lepiej poznać Zachód.
- Missie też się ożywiła:
- Hura! Hura! – wykrzykiwała podekscytowana, klaszcząc w dłonie. – Pójdę do szkoły! Będę czytać, pisać i rysować!
- Ja też, ja też! – wołał Clare.
- Ty nie, Clare – sprostowała Missie poważnie, jak przystało na starszą siostrę. – Ty jesteś jeszcze za mały.
- Nie jestem! – upierał się Clare. – Jestem już prawie taki jak ty.

Marta nie była pewna, jak długo trwałaby ta kłótnia, gdyby nie interwencja Clarka.

– Hej – odezwał się, biorąc syna na ręce. – Pewnie, że jesteś duży i pójdiesz do szkoły, ale jeszcze nie teraz. Potrzebuję cię na razie do pomocy przy dojeniu i innych pracach w gospodarstwie. Za kilka lat, kiedy Arnie podrośnie na tyle, by mógł mi pomagać, będę mógł cię puścić do szkoły.

Clare był usatysfakcjonowany argumentacją taty. Niech Missie idzie sobie do szkoły. On na razie się poświęci. Jest przecież potrzebny tacie.

Zamieszanie wywołane wieścią o nowej szkole i nauczycielu, było trudne do opanowania, ale w końcu Marta posadziła Arniego w krzeselku i dała mu do gryzienia kawałek skórki od chleba. Clare z Clarkiem poszli zająć się końmi i innymi pracami, a Missie rozebrała swoją kotkę i wyjaśniła jej z całą powagą, że już nie będzie miała tak dużo czasu na zabawę. Była już duża i wkrótce będzie chodzić do szkoły. Następnie wyjęła swoją najlepszą sukienkę, czyste rajstopy i niedzielne buty – o około pięć i pół miesiąca za wcześnie.

Marta uśmiechnęła się, widząc podniecenie Missie i poszła przygotowywać kolację. Czuła w sercu radość. Tej jesieni będą nareszcie mogli uruchomić szkołę. Missie będzie się uczyć. Czy Nandry i Clae też spotka to szczęście? Marta znowu obiecała sobie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by dziewczynki Larsonów też mogły uczęszczać do szkoły.





## Rozdział 6

# Wanda i jej dziecko

Ciepłe kwietniowe słońce ogrzewało ziemię. Topniały resztki śniegu, spod których wyłaniały się krokusy i mniszki. Marta cieszyła się ciepłem słonecznym i myślała już o wiosennych pracach w ogrodzie: doglądaniu kwiatów i sadzeniu warzyw.

Dzieci również były zadowolone. Odkąd zrobiło się cieplej, a dni stawały się coraz dłuższe, nareszcie mogły spędzać więcej czasu na dworze. Clare, o ile tylko mógł, przebywał z Clarkiem, a Missie chętnie wychodziła z małym Arniem na świeże powietrze. Pakowała brata do drewnianego wózka, zrobionego specjalnie dla niego przez Clarka, i woziła malucha po podwórku. Kiedy się tym zmęczyła, oddawała go Marcie i biegła do ogrodu, by uprawiać wydzielony dla niej kawałek ziemi, który nazywała swoim ogródkiem. Marta dała jej trochę nasionek i teraz już wystawało z ziemi kilka zielonych pędów wschodzącej rzepy czy sałaty. Missie nie dawała młodym roślinkom spokoju. Koniecznie chciała zobaczyć, jakie już są duże. Marta karciała ją za to, że niepotrzebnie je odkopuje i nie pozwala im swobodnie

rosnąć. W ogrodzie dziewczynki mogło być już znacznie więcej warzyw, gdyby nie brak cierpliwości nadmiernie opiekuńczej małej ogrodniczki.

Marta miała właśnie zapytać Clarka, czy przekopie dla niej grządki, ale stwierdziła, że nie powinna się zbyt spieszyć. Noce wciąż były chłodne i młode roślinki mogłyby ściąć mróz. Zdała sobie sprawę, że jest prawie tak samo niecierpliwa jak Missie.

Tymczasem poświęcała każdą wolną chwilę na dokończenie dwóch kocyków dla niemowląt. Jednego dla dziecka Wandy, a drugiego dla małego Sally Anne. Missie uwielbiała przyglądać się, jak mama robi na drutach, i błagała, by Marta pozwoliła jej dodać choćby kilka oczek. Ponieważ Marta po kryjomu musiała potem i tak zdejmować oczka zrobione przez córkę, dała jej druty i trochę wełny, żeby Missie mogła wykonać coś sama. Missie oświadczyła, że robi sweter dla kotki.

Pewnego wieczoru Marta siedziała w kuchni, czekając, aż ugotują się ziemniaki na kolację i wykorzystując wolną chwilę na dokończenie kocyka, gdy nagle Ole Bob zaczął głośno ujadać. Nigdy nie słyszała go tak rozjuszonego. Kiedy wyrzała przez okno, ujrzała zbliżającego się na koniu mężczyznę i zrozumiała, dlaczego pies tak szczeka. Sama była zaskoczona determinacją jeźdźca. Niemal leżał na grzbiecie konia, używając końca wodzy jako bata i pomagając sobie nogami, jakby chciał przyspieszyć tempo pędzącego konia. Zwierzę z pianą na pysku już ledwo dyszało, lecz pędziło naprzód, wyężdżając wszystkie mięśnie.

Kiedy jadący konno minął bramę i wyprostował się, Marta rozpoznała Camerona Marshalla.

Natychmiast zjawił się przy nim Clark i chwycił za wodze, które Cam gwałtownie odrzucił od siebie, nim zeskoczył z konia. Ledwo trzymając się na nogach, oparł się o płot. Marta od razu pomyślała o Wandzie i ogarnął ją niepokój. Wybiegła pośpiesznie z domu.

Popatrzyła na Clarka z niewypowiedzianym zapytaniem, które musiał odczytać z wyrazu jej twarzy, gdyż szybko odpowiedział.

– Wanda zaczęła rodzić, ale wszystko idzie dobrze – rozwiął jej obawy. – Lekarz jest na miejscu, lecz Wanda jest niespokojna i chciałaby, żebyś przy niej była. Przygotuję zaprzęg i możesz pojechać z Camem do nich do domu. Ja później przyprowadzę mu konia. Zwierzak musi trochę odpocząć. Był już w mieście po lekarza, tak że jest wyczerpany.

Marta spojrzała na wespół stworzenie. Najlepszy wierzchowiec Cama Marshalla przedstawiał teraz dość żałosny widok, ale wiedziała, że Clark odpowiednio się nim zajmie i nakarmione, wyszczotkowane zwierzę na pewno będzie wyglądało znacznie lepiej.

– Zaprzęg zaraz będzie gotowy – oznajmił Clark, odprowadzając kulejącego, zmęczonego konia Cama.

– Wejdz do środka – zwróciła się Marta do sąsiada, który wciąż z trudem łapał oddech – potrzebuję kilku minut na pozбиieranie paru rzeczy.

Cam wszedł i usiadł, a Marta zastanawiała się, na ile jest w ogóle świadomy, co się wokół niego dzieje.

– Odpocznij chwilę – powiedziała. Odsunęła garnek z ziemniakami na tył kuchenki. Mięso w piecu pachniało smakowicie

i wzmogło w niej uczucie głodu. Przynajmniej kolacja była już gotowa. Nalała kawy do filiżanki, którą podała Cameronowi.

– Chcesz mleka albo cukru? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Napij się, a ja w tym czasie się przygotowuję.

Marta zastanawiała się, czy Cam rzeczywiście pije czarną, czy nie miał głowy do tego, by poprosić o mleko lub cukier.

Poszła do sypialni i powkładała do torby potrzebne rzeczy. Będzie musiała wziąć Arniego, w razie gdyby musiała go nakarmić. Dwójkę pozostałych dzieci zostawi pod opieką Clarka.

Nim Marta zapakowała rzeczy i ubrała synka, Clark przyszedł do kuchni i zastała go rozmawiającego z Cameronem. Zauważyła, że Cam wypił całą kawę. Może to go postawi na nogi.

Clark pomógł jej wsiąść na wóz, gdzie w małej skrzynce wypełnionej słomą położyła Arniego. Trzymali ją tam zawsze na wypadek, gdyby któreś dziecko w czasie podróży chciało się zdrzemnąć. Marta usiadła na swoim miejscu i Clark wręczył jej lejce.

Cameron nie miał nic przeciwko temu, że to kobieta będzie powozić. Marta odczuła z tego powodu ulgę, gdyż w obecnym stanie podekscytowania Cam mógłby jechać zbyt szybko i zameczyć konie, co z kolei niepokoiłoby Clarka. Lekarz był przecież na miejscu, więc Marta mogła się aż tak bardzo nie spieszyć. Jednak trochę popędzała zaprzęg, utrzymując dość szybkie tempo jazdy. Wanda przecież na nią czekała i Marta chciała znaleźć się u niej najszybciej, jak to możliwe.

Nim dotarli do jednoizbowego domku Marshallów, Cameron najwyraźniej odzyskał spokój.

Pomógł Marcie zejść z wozu, podał jej Arniego i powiedział, że przyniesie jej torbę z rzeczami, jak tylko wyprzęgnie i przywiąże konie.

Marta weszła szybko do domu i położyła śpiącego Arniego na podłodze na swoim płaszczu. Pomyślała, że później wróci do wozu po skrzynkę z materacykiem siennym, żeby małemu było wygodniej.

Podeszła do łóżka Wandy w odległym końcu izby. Lekarz prawie nie zauważył jej obecności, gdyż całą uwagę skupił na rodzącej.

– Czy mogę z nią porozmawiać? – szepnęła Marta.

– Jak najbardziej – odparł. – Uspokój ją, jeśli potrafisz.

Usiadła przy wezglowiu łóżka i spojrzała w pobladłą twarz Wandy.

– Już jestem – odezwała się łagodnie.

Wanda uśmiechnęła się pomimo bólu.

– Przyjechałaś... – powiedziała słabym głosem. – Bardzo się cieszę, że jesteś. Boję się, Marto. Co jeśli...?

Marta nie pozwoliła jej skończyć.

– Wszystko będzie w porządku – pocieszała ją. – Lekarz jest przy tobie. Jeszcze tylko chwilę i będziesz miała pięknego synka albo śliczną córeczkę. Musisz tylko jeszcze trochę wytrzymać i uspokoić się. Słuchaj dokładnie wskazówek lekarza. On zna się na porodach.

– Dobrze, postaram się... – odpowiedziała Wanda nie do końca przekonana.

– Ja przyszykuję coś do zjedzenia dla twojego męża i dla lekarza. Jestem tutaj, gdybyś mnie potrzebowała.

Wanda lekko przytaknęła, po czym znów zamknęła oczy.

Marta ścisnęła jej dłoń i poszła przygotować mięso z chlebem, które przywiozła ze sobą na kolację. Dobrze, że Arnie spał spokojnie. Cameron wrócił z obory, ale chyba wolał pozostawać możliwie jak najdalej od swojej żony i lekarza. Usiadł w milczeniu w drugim końcu izby.

Kolacja była gotowa, ale Cam nawet nie spróbował wziąć jedzenia do ust. Lekarz zrobił sobie przerwę, by łyknąć trochę kawy i zjeść kanapkę z wędliną. Marta wyczytała z jego twarzy, że jest niespokojny. Była tym nieco zdenerwowana. Czuła się bezradnie i niepewnie, gdy wycierała stół i zmywała naczynia.

W pomieszczeniu panowała atmosfera pełna napięcia. Cameron wyszedł. Chodził po podwórzu tam i z powrotem. Marta wykorzystała moment jego nieobecności i szeptem zapytała lekarza o stan Wandy.

– Powinna była już urodzić – odpowiedział szczerze. – Nie podoba mi się to, że akcja tak bardzo się wydłuża. Dziecko jest małe i chciałbym mu oszczędzić dodatkowego wysiłku. Obawiam się, że tak długi poród jeszcze bardziej je osłabi. Zastanawiam się, czy nie posłać po panią Graham. Chciałbym się mylić, ale obawiam się, że kiedy dziecko się urodzi, będziemy musieli użyć wszelkich możliwych środków, jakimi dysponujemy, by je ratować.

Marta modliła się cicho, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Poślę Cama po Ma Graham – szepnęła do lekarza.

Otarła ślady łez, by dodatkowo nie niepokoić Camerona.

Wyszła na zewnątrz. Zastała go siedzącego na pieńku do rąbania drewna, z głową pomiędzy splecionymi dłońmi. Noc była zimna.

– Cam – odezwała się. Popatrzył na nią przestraszony. – Lekarz mówi, że chciałby mieć do asysty przy porodzie panią Graham. – Zawsze to dodatkowa para rąk... jedna osoba zajmie się Wandą, a druga dzieckiem, gdy już się urodzi. Lekarze lubią mieć kogoś do pomocy ... a ja nie wiem zbyt wiele na temat porodu. Możesz wziąć mój wóz. Doktor mówi, że mamy jeszcze czas.

Starła się, by jej głos brzmiał jak najbardziej naturalnie.

Cameron wstał i wyglądało, że nawet się ucieszył, iż może się do czegoś przydać.

Gdy Marta wróciła do izby, usłyszała, jak zaprzęg oddala się od domu.

*Dobrze – pomyślała. Przynajmniej już jedzie ostrożnie.* I poszła nakarmić małego Arniego.

Przybycie Ma Graham było odciążeniem dla lekarza, który wypił kolejną porcję kawy, po czym wyszedł na podwórko, by porozciągać spięte mięśnie.

Marta zaparzyła jeszcze trochę kawy, posiedziała z Wandą, a następnie położyła małego Arniego spać. Patrzyła, jak wygodnie ułożony w skrzynce wyścielonej sianem leży sobie spokojnie i gaworzy. Zazdrościła mu, bo nikt inny nie był w stanie się w tym domu położyć – nie było tu żadnych innych łóżek.

Kiedy zorza oblała swym blaskiem wschodni horyzont, Marta wyszła po drewno, by dołożyć do ognia. Gdy wróciła,

powitał ją słaby płacz noworodka. Po długiej nocy oczekiwania, wraz z nastaniem świtu narodziło się dziecko.

Wanda usłyszała ciche kwilenie i odezwała się równie cichym jękiem. Jej usta były blade, podobnie jak całe oblicze.

– Chłopczyk – ogłosił doktor triumfalnym tonem, jak zwykle czynią w takiej chwili lekarze. Lecz Marta dyskretnie obserwowała jego twarz i odczytywała z niej niepokój. Patrzyła, jak podchodzi do Camerona. Mimo że mówił ściszym głosem, słyszała, jak tłumaczy ojcu, że dziecko urodziło się bardzo słabe, ale zrobi wszystko, co w jego mocy, by je uratować. Cam bezwiednie pokiwał głową i ponownie osunął się na krzesło.

Lekarz dał znak Ma, by zajęła się Wandą. Wziął kruche małeństwo i przeniósł je na stół.

Marcie polecił przesunąć stół bliżej pieca i rozłożyć na nim czyste prześcieradła dla malucha. Potem położył na nich dziecko. Walka o jego życie trwała kilkanaście godzin.

Marta wiedziała, że lekarz używa całej swojej wiedzy i doświadczenia oraz wszelkich dostępnych środków medycznych, by wspomóc dziecko w walce ze śmiercią. Później powiedział jej dyskretnie, że dwa razy wydawało mu się, iż dziecko już umiera, ale w końcu małe ciało odzyskiwało iskrę życia.

Dwadzieścia osiem godzin później, kiedy Marta i lekarz odjeżdżali do swoich domów, Wanda trzymała przy sobie małego synka, a z oczu Camerona można było wyczytać ogromną wdzięczność. Obiecał lekarzowi, że w zamian za jego usługi odda mu własnego konia.

Ma została, by spędzić z Wandą kilka dni, dopóki młoda mama nie stanie na własnych nogach. Cameron rozłożył kilka



koców dla siebie na sianie na strychu, a na podłodze w pokoju przygotował posłanie dla Ma.

Kiedy Cam doszedł do siebie, zaczął się przechwalać. Mówił, jakim wspaniałym człowiekiem będzie jego syn w przyszłości i ile wspólnie dokonają.

Marta wracała tak słaba, że ledwo prowadziła zaprzęg. Dan i Charlie same narzuciły sobie rytm i znały drogę do domu, tak że nie musiała wiele robić. Arnie zdawał się zadowolony z jazdy w wygodnym posłaniu tuż za mamą.

Kiedy wjeżdżała na podwórze, Clark wybiegł jej na spotkanie, a za nim dwójka podekscytowanych dzieci i na wpół oszalały z podniecenia pies. Marta z radością wtuliła się w ramiona męża.

– To chłopak – zdołała wydusić z siebie – i na szczęście przeżył. Lekarz mówi, że wszystko powinno być dobrze.

Dowlokła się do łóżka z małym Arniem na rękach. Kiedy karmiła go piersią, tuliła go mocno do siebie. Tak grzecznie zniósł ten trudny czas ... Pocałowała go w delikatne czółko, po czym, nie wiedząc kiedy, zapadła w sen. Nie słyszała Clarka, kiedy wszedł do sypialni, by zabrać roześmiane dziecko, bawiące się gołymi nóżkami i gaworzące radośnie do siebie oraz do zmęczonej matki, która wtedy już głęboko spała.





Rozdział 7

## Tina Larson

**K**wiecień tego roku był miesiącem narodzin dwójki dzieci, lecz niestety, śmierć również zebrała swoje żniwo. Wiadomość o tym, że Tina Larson odeszła spokojnie, podczas snu, dotarła do Marty i Clarka w deszczowe, środowe popołudnie.

Marta była głęboko zaniepokojona, gdy dowiedziała się, że znalazła ją Clae. Uważała, że dziecku najlepiej byłoby oszczędzić takiego doświadczenia. Lecz ojca, Jedda Larsona, nie było akurat w domu...

Pogrzeb miał się odbyć następnego dnia. Życzliwe sąsiadki umyły ciało i przygotowały je do pochówku, a mężczyźni wybudowali prostą, drewnianą trumnę. Marta wybrała jedną ze swoich sukienek, by ubrać zmarłą, a pani Stern ofiarowała prześcieradło, w które udrapowała wnętrze trumny.

Nieustające opady deszczu utrudniały kopanie grobu, ale udało się przygotować wszystko jeszcze przed czasem.

O drugiej po południu wozy okolicznych farmerów wolno podążały w kierunku posiadłości Jedda, gdzie miała odbyć się

krótka uroczystość pogrzebowa, prowadzona przez Clarka oraz Bena Grahama.

Serce Marty przepełnione było bólem i rozpaczą, kiedy obserwowała dwie dziewczynki, córki zmarłej Tiny Larson. Stały w deszczu, przytulone do siebie i patrzyły, jak ciało ich ukochanej matki, jedyne źródło miłości i pociechy, zostaje spuszczone do ziemi. Po nabożeństwie Marta dyskretnie ustaliła z Clarkiem, że porozmawia z Jeddem. Zebrała się na odwagę i podeszła do niego, proponując mu, żeby po pogrzebie dziewczęta na kilka dni przyjechały do nich, dopóki „sprawy się nie ułożą”.

– Nie widzę takiej potrzeby – poinformował ją. – W domu będą miały co robić i nie będą miały czasu na rozmyślanie.

Marta czuła, jak wzbiera w niej gniew, lecz szybko się odwróciła, by nie dać tego po sobie poznać. Wiedziała, że nigdy nie zapomni obietnicy złożonej Tinie Larson i zrobi wszystko, by ją spełnić. Lecz w jaki sposób? Szkoła zostanie otwarta już na jesieni i dziewczęta muszą rozpocząć w niej naukę! Będzie się modliła w tej sprawie, a Clark do niej dołączy. Bóg ma swoje tajemnicze sposoby odpowiadania na modlitwy i daje nam więcej, niż prosimy czy oczekujemy.

Marta przygryzła wargę, by powstrzymać jej drżenie, wytarła łzy wymieszane z kroplami deszczu i podeszła do Clarka, który czekał na nią w wozie.



Przez następne dni i tygodnie Marta nie mogła przestać myśleć o śmierci Tiny Larson. Nie potrafiła pozbyć się brzemienia przygniatającego ją na myśl o osieroconych dzieciach. Co z tego, że miały ojca, skoro ten nie radził sobie w życiu, nawet gdy okoliczności były sprzyjające? Wiedziała, że biedne dziewczynki doświadczyły straty, która jest zbyt dotkliwa nawet dla dorosłego, a co dopiero dla dziecka.

Po pogrzebie często odwiedzała dziewczynki. Zawoziła im świeże wypieki, warzywa i wędliny. Kiedy o nich myślała, serce ścisnął jej ból. Zdecydowała, że koniecznie musi się zobaczyć z Ma Graham. Tak, właśnie tego potrzebowała teraz najbardziej. Ma pomoże jej to wszystko przeanalizować i być może razem wymyślą coś, czym zdołają przekonać upartego Jedda, że dziewczętom potrzebna jest edukacja. To im się w życiu należy!

Kiedy Tina Larson chorowała, Marta zdążyła lepiej poznać dziewczęta. Starsza, Nandry, była spokojna i nieśmiała. Marta obawiała się, że w tym wieku może być już za późno, by pomóc jej otworzyć się bardziej na świat i na ludzi, przemienić jej smutne usposobienie, dodać jej pewności siebie i poczucia własnej wartości. Młodsza, Clae, była jak kwiat, jednak pozbawiony słońca. Marta była niemal pewna, że Clae w sprzyjających warunkach życiowych w pełni rozkwitnie. W towarzystwie Marty Clae stopniowo wyzbywała się nieśmiałości. Mimo że była młodsza od Nandry, to ona szybciej się przełamywała i stawała się coraz bardziej rozmowna.

Marta zdecydowała, że zrobi wszystko, by dać dziewczętom szansę na edukację i rozwój. Przecież obiecała to ich matce. Przy śniadaniu postanowiła przedstawić Clarkowi swój plan.

– Mamy dzisiaj taki ładny dzień. Pomyślałam, że dzieci chętnie się przewietrzą, wezmę je i odwiedzimy Ma Graham... Co o tym sądzisz?

– Dobry pomysł – odpowiedział Clark bez zastanowienia. – Ziemia nie wyschła jeszcze na tyle, by zacząć siew. Możesz wziąć zaprzęg. Zamierzam dzisiaj zająć się oczyszczaniem ziarna. Musi porządnie wyschnąć, by można nim było obsiać to niższe pole jeszcze tej wiosny. Jak tylko będziesz gotowa, daj znać, to przeprowadzę ci konie.

– Daj mi jeszcze mniej więcej godzinę – odpowiedziała Marta. – Cieszę się, że będę mogła porozmawiać z Ma. Niedawno wróciła od Wandy i maleństwa. Przynajmniej dowiem się, jak sobie radzi ten mały chłopiec.

– I o czym jeszcze chcesz z nią porozmawiać? – zapytał Clark, patrząc jej znacząco w oczy.

– Pewnie o zbliżających się narodzinach dziecka Sally Anne. Wyobrażam sobie, jak Ma musi to przeżywać. Tak bardzo czekają na to dziecko... zwłaszcza że jest już nieco po terminie.

– I o czym jeszcze? – ciągnął dalej Clark.

Marta popatrzyła na męża. W porządku. A więc wiedział, że żadna z tych kwestii nie jest tak naprawdę właściwym powodem jej wyprawy do Ma. Westchnęła i przyznała:

– Chciałabym porozmawiać z nią o dziewczynkach Larsonów. Clark, trzeba coś zrobić w ich sprawie, a ja nie mam na tyle mądrości, by wymyślić coś sensownego.

Clark odsunął od siebie pustą miskę po owsiance i wstał, by sięgnąć po dzbanek. Położywszy Marcie dłoń na ramieniu,

nalął jej drugi kubek kawy. Następnie uzupełnił swój, po czym odłożył dzbanek na tył kuchenki.

*A więc o to ci chodzi* – mówiły jego oczy, gdy w milczeniu popijał wolno kawę. Po chwili odezwał się.

– Jedd Larson to człowiek nieustępliwy. Dopóki sam nie zdecyduje, że jego dzieci potrzebują szkoły, szanse, że ktoś go nakłoni do tego pomysłu, są niewielkie.

– Wiem o tym – ubolewała Marta. – Jak by go tu przekonać? Czy myślisz, że mógłbyś z nim porozmawiać, tak po męsku? Może to by poskutkowało?

Clark pokręcił głową.

– Jedd nigdy nie liczył się z moim zdaniem.

– Jakie to egoistyczne i podle z jego strony! – wzburzyła się Marta. – Po prostu nikczemne!

– Nie zapominaj, że córki są mu potrzebne, by gotowały dla niego posiłki, prały mu ubrania, sprzątały...

– Ale to takie niesprawiedliwe.

– A może powinniśmy pomodlić się, by Bóg dał Jeddowi drugą żonę...? – Oczy Clarka rozbłysły.

Marta nie uważała, by to było zabawne.

– O nie, tego nie życzyłabym żadnej kobiecie, nawet gdyby była moim wrogiem – odpowiedziała z gniewnym błyskiem w spojrzeniu.

Clark uśmiechnął się i wstał od stołu.

– Nie znam innego wyjścia z tej sytuacji – stwierdził. – Przyśyżuję ci wóz do drogi. Chodź, Clare, przygotowujemy konie dla mamy. Ty też, Arnie, pójdiesz z tatą...

Obaj chłopcy entuzjastycznie zareagowali na propozycję ojca. Clare w podskokach udał się do drzwi, a Arnie wyciągnął rączki, czekając, aż tata go podniesie.

Marta szybko posprzątała ze stołu. Chciała pozmywać naczynia, lecz Missie upierała się, że to jej kolej na zmywanie, i spowalniała porządkowanie kuchni. Marta wiedziała jednak, że warto poświęcić tę dodatkową chwilę, by docenić inicjatywę i pracowitość córki.

Kiedy Marta z dziećmi dojechała do Grahamów, Ma nie kryła radości z ich wizyty. Zaprosiła gości do środka, jej dzieci chętnie włączyły potomstwo Davisów do wspólnej zabawy. Nellie zaproponowała, że zajmie się małym Arniem, a Marta chętnie na to przystała.

Kobiety usiadły przy filiżance kawy oraz ciepłym cięście orzechowym i rozpoczęły pogawędkę.

– Jak się miewa maleństwo Wandy? – zapytała z zainteresowaniem Marta.

– Jest maleńki, ale dzielny z niego chłopak... bez wątpienia stoczył ciężką walkę o życie.

– Jak go w końcu nazwali? – Marta uśmiechnęła się na wspomnienie długiej listy imion, jaką Wanda i Cam sporządzili jeszcze przed narodzinami syna.

– Evertt Cameron DeWinton John.

– Trochę dużo tych imion jak dla tak maleńkiej istoty.

– Chyba tak, ale może dziecko sprosta oczekiwaniom ojca.

– Tak się cieszę, że udało się go uratować – stwierdziła wzruszona Marta. – Kolejna strata dziecka przygnębiłaby Wandę do reszty.



Ma przytaknęła z powagą.

– A jak się czuje Sally Anne? – zapytała Marta.

– Dobrze, ale jest już zmęczona tym czekaniem. – Ma pokręciła głową. – Wiesz, jak to jest, gdy te ostatnie dni przed rozwiązaniem tak strasznie się dłużą. Widziałam się z nią wczoraj. Wszystko ma przygotowane, nawet kołyskę, którą zrobił Jason, wyścieliła już prześcieradełkiem... Sally nie może się doczekać, kiedy położy w niej niemowlę. Ale mimo wszystko wydaje mi się, że to ja bardziej od niej się denerwuję. Nidy nie wyobrażałam sobie, że będę tak bardzo podekscytowana oczekiwaniem na wnuka.

– Będziesz przy porodzie?

– Skądże znowu?! Wezwiemy lekarza. To paradoks: asystowałam przy tylu porodach, a tym razem mam wrażenie, że nie dałabym sobie rady. Zdecydowaliśmy, że jak tylko się zacznie, pošlemy Toma po doktora. Będę szczęśliwa, jak będzie już po wszystkim.

Marta przyznała jej rację. Zastanawiała się, jakie to może być uczucie, kiedy własna córka rodzi dziecko. To musi być trudne: widzieć jak cierpi, a nie móc jej w żaden sposób ulżyć. Marta wyobrażała sobie, że gdyby chodziło o Missie, na pewno denerwowałyby się bardziej niż Ma. Odsunęła jednak szybko tę myśl i zmieniła temat.

– Ma, tak naprawdę przyjechałam do ciebie w konkretnej sprawie. Wiesz, obiecałam Tinie Larson przed śmiercią, że zrobię wszystko, co możliwe, by Nandry i Clae mogły pójść do szkoły. A Jedd... no wiesz... po prostu boję się, że on na to nie

pozwoli. Za kilka miesięcy szkoła będzie otwarta, a Jedd Larson uważa, że żadna z jego córek nie potrzebuje wykształcenia.

Marta spojrzała bezradnie na Ma.

– Co zrobimy, żeby go przekonać? – spytała.

– Obawiam się, że niewiele jest argumentów, które mogą przekonać Jedd Larsona, dopóki coś nie jest jego własnym pomysłem. Nawet nie wiem, od czego zacząć, by jakoś do niego dotrzeć. Jedno jest pewne: to człowiek uparty i nieugięty.

– Chyba masz rację – westchnęła Marta, bawiąc się pustą filiżanką. Zaczęła wątpić w możliwość spełnienia obietnicy danej Tinie. Co jeszcze mogłaby zrobić? Modliła się, i to wielokrotnie, ale Jedd nie skłaniał się ani trochę ku kształceniu dziewcząt. Postanowiła jednak, że się nie podda. Może Bóg w jakiś sposób otworzy umysł tego upartego człowieka...

Kiedy pomogła Ma pozbierać ze stołu naczynia, w drzwiach pojawił się podekscytowany Jason.

– Ma! – zawołał, wchodząc bez pukania. – Sally Anne uważa, że już się chyba zaczyna.

– Tom jest na polu, przy oborze – powiedziała bez namysłu Ma. – Poślij go, żeby pojechał po lekarza, a my jedziemy do was.

Porwała torbę stojącą w rogu pokoju, narzuciła szal na ramiona i niemal biegiem wypadła z domu. Marta uświadomiła sobie, że torba w rogu izby już od dawna była przygotowana, właśnie na tę okoliczność.

Tom opuścił podwórze na galopującym koniu, a Ma i Jason nieznacznie wolniejszym tempem odjechali wozem do Sally Anne.

Marta wzięła dzieci i zebrała się do domu. Była pewna, że wszystko ułoży się pomyślnie dla Sally Anne i jej dziecka. W drodze powrotnej modliła się o to przez cały czas.

Jeszcze tego samego popołudnia Tom przybył z radosną nowiną, że Sally Anne szczęśliwie urodziła córeczkę, a babcia i dziadek trzymają się dzielnie.

– Pomyśl tylko – powiedział dumnie. – Jestem teraz wujem Tomem. Brakuje mi tylko chaty.

Marta się uśmiechnęła.

– Co masz na myśli? – zapytała Missie. – Nie możesz mieszkać w waszym domu, bo zostałeś wujkiem?

Tom mrugnął porozumiewawczo do Marty.

– Nie, no myślę, że mogę – odparł. – Chyba nie wyrzucą mnie dlatego, że zostałem wujkiem. A szczególnie takim, który zajmuje się większością prac domowych. Przez jakiś czas nie będzie mi jeszcze potrzebny własny dom. Zresztą nie spiesz mi się do takiego kawalerskiego życia.

Przerwał, po czym dodał z zakłopotaniem:

– Poczekam, aż znajdę sobie kucharkę. Dopiero potem wyprowadzę się na swoje.

Marta nagle zdała sobie sprawę, że mały Tommie naprawdę wydorósł i może jego żarty o własnym domu miały poważniejszy wydźwięk, niż jej się zdawało. Jakże szybko te wszystkie dzieci urosły...

Przez myśl przemknęły jej wszystkie dziewczęta z sąsiedztwa. Może któraś z nich pasowałaby do młodego Toma Grahama – tego miłego chłopca, którego tak kiedyś polubiła, gdy pod nieobecność Clarka pomagał w pracach na farmie i spędzał u nich

wieczory, czytając Missie książki? A teraz stał u progu męskiej dojrzałości. Marta miała nadzieję, że gdy nadejdzie odpowiedni moment, wybierze dla siebie dziewczynę, która będzie godna tak wspaniałego młodzieńca.

Tom usiadł, podrzucając na nodze Arniego i wrócił do tematu swojej siostrzenicy.

– Wciąż nie wybrali imienia dla małej. Sally Anne chce ją nazwać Laura, ale Jason upiera się przy Elizabeth. Mówi, że czytał kiedyś historię o jakiejś Elizabeth i zawsze chciał, by tak nazywała się jego córka. Uważa też, że na drugie imię powinna mieć Sally lub Anne. Elizabeth Sally brzmi trochę dziwnie. Mnie się podoba Elizabeth Anne. A tobie?

– Podoba mi się – zapewniła go Marta. – Sądzę, że to bardzo ładne imiona.

– Ja też – dołączyła Missie, chcąc koniecznie podzielić się własną opinią i zaznaczając swoją obecność przed ukochanym Tomem.

– Myślę, że w takim razie powinni się na to zdecydować. Powiem Sally Anne, że skoro Missie uważa, iż mała powinna nazywać się Elizabeth Anne, to trzeba przy tym pozostać.

Missie uśmiechnęła się od ucha do ucha i klasnęła w dłonie z zadowoleniem.

Tom posadził Arniego na podłogę i wstał do wyjścia.

– Lepiej już pójdę. Nelly będzie wściekła, jeśli spóźnię się na kolację, a w domu wciąż jest sporo do zrobienia. Nie spodziewam się dzisiaj wieczorem pomocy od „dziadka” Grahama.

Tom oczywiście żartował, lecz w jego głosie słychać było miłość i szacunek.

Marta się uśmiechnęła.

– Powiedz „dziadkowi”, że serdecznie go pozdrawiamy.

Przytaknął i machając ręką na pożegnanie, wyszedł.

– Lubię go – szepnęła Missie. – Myślę, że jak będę duża, to wyjdę za Toma.

– Wielkie nieba, dziecko! – wykrzyknęła Marta. – Masz niecałe sześć lat i już myślisz o małżeństwie?! Nie będziemy jeszcze o tym rozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mówię, że już – wyjaśniła stanowczo Missie. – Powiedziałam, że kiedy dorosnę. Najpierw muszę przecież iść do szkoły!





## Rozdział 8

# Niespodziewana odpowiedź

Tego lata ogród bujnie rozkwitł, a upał był trudny do zniesienia. Doceniając chłodne podmuchy wiatru wiejącego rano od strony pobliskich gór, Marta wstawała wcześnie, by jeszcze przed skwarem zająć się pracą w ogródku i przygotowaniami do zbiorów warzyw i owoców. Missie uwielbiała dojrzewające na słońcu pomidory. Rwała je i zjadała prosto z krzaczka, kiedy tylko były czerwone.

Równie szybko jak nadeszła wiosna i lato, niebawem miała zawitać jesień, a wraz z nią przygotowania do szkoły. Pan Whittle w swojej korespondencji potwierdzał, że nie zmienił decyzji i przybędzie pod koniec sierpnia, by zapoznać się z ludźmi i okolicą oraz przygotować szkołę do rozpoczęcia zajęć.

Według ustaleń pan Whittle, który był kawalerem, miał być zakwaterowany u państwa Watleyów. Pani Watley miała dwie dorosłe córki, panny na wydaniu, o które dbała jak o rodzinne skarby.